Na str. 5-ej - Witold Chwalewik: „Na grobie Chestertona“

7 LISTOPADA

Nr. 45 Rok II.

WARSZAWA 1937

Opłata pocztowa opłacona gotówką.

Podbipięta

GAZETA TYGODNIOWA

Cena numeru 30 groszy

Redakcja: BRACKA 10 m. 16, tel. 9,66-93 czynna jest w dnie powszednie (prócz środy) w godzinach 10—11 i 16—18.

Administracja: CHMIELNA 9 m. 14 tel.: 6,88-92 — czynna jest w dnie powszednie w godz 9—11 i 18—19 w soboty w godz. 9—12.

Prenumerat miesięczna z przesyłką pocztową 1 zł.

Konto P. K. O. Nr. 24545

Pocztowe konto rozrachunkowe Nr. 148.

DYSCYPLINA W ROZGARDIASZU

Dobrze jest czasami spojrzeć w przeszłość, gdy człowiek duma o teraźniejszości. Rzućmy okiem choćby na r. 1918: ile analogii znaleźć można z dniem dzisiejszym! Jak to się wtedy wołało „ramię do ramienia!“, „wszystko zrobić można świętą zgodą!“. Nawoływało się wtedy gorąco do tej zgody, czyli, jakby to się dziś mówiło — do konsolidacji, a tymczasem kraj przedstawiał obraz chaosu i... dekompozycji.

Weźmy pierwsze dni listopada 1918. Lwów krwawi. Garstka młodzieży walczy z przemocą hajdamacką, która zbrojnymi oddziałami obsadziła Lwów i ogłosiła tam ukraińską „dzierżawę“. W kraju tymczasem mamy trzy rządy, warszawski rząd Świeżyńskiego i Radę Regencyjną, rząd Daszyńskiego w Lublinie, rząd Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie.

Warszawie ogłoszono 2 listopada o mianowaniu „komisarza dla całej Galicji“, który „przejmie w najbliższym czasie zarząd od jenerała - pułkownika hr. Huyna“. Co warta była ta enuncjacja! Przecież jenerał - pułkownik hr. Huyn niczym nie zarządzał już ani w Małopolsce Zachodniej, gdzie władała Polska Komisja Likwidacyjna, ani w Małopolsce Wschodniej, w której rozgościły się rządy hajdamaków.

Sytuacja polityczna na ziemiach polskich pod jednym względem była jasna: okupacyjne rządy waliły się w gruzy. To się dało wyczuć jeszcze w październiku, gdy stało się wyraźne, że potęga niemiecka załamała się już na froncie zachodnim.

14 października przez ulice Warszawy maszerowały zastępy umundurowanych Dowborczyków, a towarzysząca im w wielkiej liczbie młodzież akademicka wznosiła okrzyki, domagające się tworzenia polskiej siły zbrojnej. Wszyscy rozumieli, że wojsko polskie — to pierwszy, kardynalny warunek wskrzeszenia państwa polskiego.

Już wtedy na Niemców patrzono w Warszawie, jak na bankrutów, to też polityka zwłoczenia z decyzją, jaką stosowała Rada Regencyjna, wywoływała powszechne sprzeciwy i protesty.

Wreszcie nastąpiła decyzja. Rząd warszawski dnia 4 listopada ogłasza zaciąg ochotniczy do wojska.

Spójrzmy teraz na dalsze zdarzenia, które choć odległe od nas o lat dziewiętnaście, jakże są pouczające!

Dnia 5-go listopada przywódcy młodzieży akademickiej zbierają się na naradę i postanawiają natychmiast, nazajutrz, urządzić wiec w sprawie wstąpienia wszystkich studentów do wojska.

Dzień 6-go listopada w Warszawie — to dzień historyczny. Młodzież uchwala, że:

1. dalsze istnienie Rady Regencyjnej uważa za wysoce szkodliwe i domaga się jej ustąpienia;

2. oddaje się do dyspozycji rządu przez natychmiastowe przystąpienie do akcji wojskowej;

3. żąda natychmiastowego zamknięcia wyższych uczelni, dając młodzieży trzydniowy termin do załatwienia wszelkich formalności, związanych z wstąpieniem do wojska. Aby uniknąć przy tym chaosu, powołuje młodzież akademicka komisję informacyjną, która dawałaby wskazówki ochotnikom.

Uchwała o wstąpieniu do wojska jest rygorystyczna. Młodzież na wiecach postanawia, że gdy minie potrzeba wojenna i uczelnie będą znowu otwarte, wstęp na studia będą mieli tylko ci, którzy się wylegitymują czynną służbą w armii „lub wykażą świadectwem superarbitrowej komisji“ — jak twierdzi „Kurier Warszawski“, nie obznajmiony widocznie jeszcze ze słownictwem wojskowym, bo prawdopodobnie chodziło młodzieży o komisję superrewizyjną.

Uczestnicy wieców studenckich z 6 listopada 1918 zgodnie określają nastrój na wiecach, jako wspaniały. Wszędzie odbywały się one w nastroju mocnym i podniosłym, a na Uniwersytecie, gdzie zebrało się wielu nie studentów — także burzliwym. Ale wszędzie zapada jedna uchwała: do wojska natychmiast i wszyscy.

Tak, wszyscy. Bo 7 listopada wiecują oddzielnie studentki. Są one porwane powszechnym entuzjazmem i również uchwalają wziąć udział w akcji wojskowej swojego pokolenia w formacjach pomocniczych, jako sanitariuszki, pielęgniarki rannych itp.

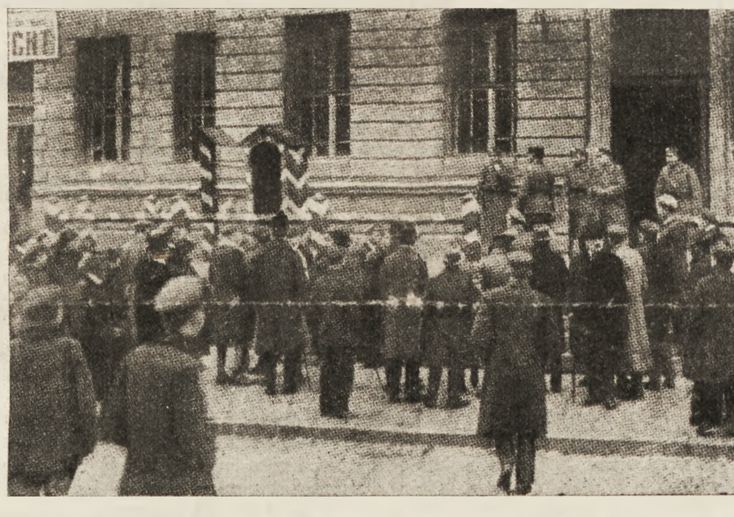
Studenci księża zgłaszają swoje kandydatury na kapelanów wojskowych przy oddziałach.

Aby uchwały wieców były skrupulatnie wykonane przez wszystkich studentów — powstaje akademicki komitet wykonawczy. Będzie on czuwał nad praktycznym wykonaniem rezolucyj wiecowych. Komitet ten żąda od studentów, którzy jeszcze nie są zapisani w albumach akademickich, aby się imatrykulowali według terminów wyznaczonych przez poszczególne uczelnie. Ponadto żąda komitet, aby wszyscy studenci wykupili dowody osobiste i zaopatrzyli się w specjalne zaświadczenia, które mają być ostemplowane przez dowództwa wojskowe. W ten sposób starano się uzyskać dowody spełnienia obowiązków żołnierskich, gdy znowu nadejdzie czas studiów.

Jak uchwały wieców studenckich porwały wszystkich, dowodzi tego odezwa senatów wyższych uczelni, ogłoszona 6-go, czy 7-go listopada:

„W zgodnym postanowieniu młodzieży akademickiej, aby wstąpić do wojska, celem zdobycia i wywalczenia niezależnego bytu państwowego ojczyźnie, senaty akademickie witają doniosły czyn patriotyczny, z którym się w całości solidaryzują. W przeświadczeniu, że młodzież akademicka, wstępująca do wojska stać będzie na straży jedności narodowej i służyć będzie obronie granic Polski, senaty akademickie wyrażają zgodność uczuć swych z uczuciami młodzieży i postanawiają zawiesić wykłady i zajęcia“.

OBRAZEK Z LISTOPADA 1918 R.



Akcja rozbrajania wojsk niemieckich, zaczęta z 8 na 9 listopada, szła dość sprawnie, gdyż Niemcy niezbyt opornie oddawali broń, gdy żądały tego uzbrojone oddziały. Ponieważ dowództwo Wehrmachtu (polskie oddziały, podporządkowane pruskiemu generałowi Barthowi) nadesłało oddziały z Komorowa do Warszawy akcja szła dość szybko. Z pomocą polskim oddziałkom śpieszyli Wielkopolanie, którzy zrywali ze swych uniformów odznaki armii niemieckiej i zdobili czapki w polskie orzełki.

Senaty, patrząc na trzy rządy na ziemiach polskich i rozproszkowanie polityczne społeczeństwa, dały wyraz swym pragnieniom, aby młodzież stanęła „na straży jedności narodowej“. Senaty nie zawiodły się. Czyn zbrojny młodego pokolenia był najlepszą manifestacją jedności narodowej i temu ideałowi pokolenie żołnierskie nigdy się nie sprzeniewierzyło.

Sięgnijmy do cyfr. W roku 1918 uniwersytet liczył 4.500 studentów, politechnika 2.600, Wyższa Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego — 600, Wyższa Szkoła Handlowa — 600, a Wolna Wszechnica ze swą szkołą ogrodniczą, leśną i instytutem pedagogicznym — 2.000. Po 6 listopada do szeregów armii narodowej weszło więc około 10.000 akademików, pociągając swoim przykładem całą polską młodzież patriotyczną w miastach i na wsi.

Wypadki toczą się szybko. Po wiecu na uniwersytecie wielki pochód młodzieży idzie pod Zamek Królewski, chcąc wyłonić delegację, aby przedstawiła postulaty studentów Radzie Regencyjnej. Ale regentów nie ma na Zamku. Za to po drodze do młodzieży przemawiają na ulicach liczni wojskowi niemieccy, strojni w czerwone kokardki. Mają dosyć wojny i dosyć munduru wojskowego.

Już 9-go listopada generał-gubernator Beseler zawiadamia Radę Regencyjną o zniesieniu generałgubernatorstwa, a jednocześnie prasa warszawska drukuje wiadomość o abdykacji Wilhelma II.

9 października zaczyna się rozbrajanie Niemców. Pierwszego dnia akcja daje jeszcze skromne wyniki, ale 10-go postępuje bardzo szybko. Płk. Bystram, wziąwszy z uniwersytetu 85 studentów i dobrawszy sobie kilku Dowborczyków, po krótkim przeszkoleniu tego oddziału, polegającym na ładowaniu karabinów i celowaniu wkracza na Zamek i zabiera 12 karabinów maszynowych, wiele broni ręcznej i amunicji.

Ale najwięcej otuchy daje żołnierzom powrót do Warszawy w dniu 10 listopada Józefa Piłsudskiego wraz ze swoim szefem sztabu, gen. Sosnkowskim.

W okresie powszechnej dekompozycji politycznej w roku 1918 młode pokolenie okazało się zwarte i zdolne do czynu. Dekompozycja nie zdołała go obezwładnić. Senaty akademickie, zatroskane obrazem chaosu w kraju, mogły być zbudowane „kompozycją“ młodego pokolenia, które dobrze spełniło swój obowiązek, dając przykład budowania jedności narodowej w chwilach ciężkich i trudnych.

* * *

JAN MALEWSKI

Drugi krok

na drodze rozwoju gospodarczego Polski

Pierwszym krokiem była Gdynia, której wybudowanie uniezależniło nas od usług obcych portów. Drugim krokiem jest powstanie Centralnego Okręgu Przemysłowego. Bardzo wprawdzie wolno robimy te kroki, co 12 lat jeden, ale trzeba przyznać, każdy z nich — to krok olbrzyma.

Zanim uczyniony był ten drugi wielki krok, nasza polityka gospodarcza była dreptaniem w miejscu. Bardzo trafnie określił nasze dotychczasowe plany i poczynania inwestycyjne prof. Kosieradzki w swoim memoriale w sprawie planu Centralnego Okręgu Przemysłowego. Pisał on rok temu: „Powstają one (plany inwestycyjne) jako mechaniczny zlepek projektów różnych „resortów“, które z kolei opierają się na postulatach i radach gmin, miast, niższych instancyj itp. W razie wątpliwości i szczupłości środków, arbitrem jest większy wpływ personalny tego bądź innego dostojnika. Nie ma tam jednej perspektywy, ale wiele krzyżujących się perspektyw lokalnych. W rezultacie pieniądz rozpływa się płytkimi strumyczkami, powstaje gdzie niegdzie teatr lub ogródek działkowy, gdzie indziej ulica lub kawałek drogi (nie droga od miasta do miasta, lecz jej „kawałek“ od „słupka do słupka“), ówdzie mostek itd. A dalej: Entuzjazm narodu można wzbudzić tylko wielkimi dziełami. W zakresie gospodarki muszą to być dzieła, które porywają bez słów i komentarzy“.

Z jaką radością po roku, który upłynął od napisania tych słów, słucha się opowiadań tych, którzy byli i własnymi oczami oglądali wielkie dzieło okręgu przemysłowego. Z jaką dumą myśli się, że jednak potrafimy gospodarować planowo, a planować z rozmachem i na długą metę.

Okręg Przemysłowy nawiązuje do naszych odwiecznych tradycyj historycznych, które zostały przerwane podziałem Polski. Sandomierz, będący niegdyś ważnym węzłem komunikacyjnym i centrem życia gospodarczego, wraca znów do dawnej, należnej mu roli.

Podstawą surowcową Okręgu jest Zagłębie Staropolskie. Kopalnie srebra w Chęcinach i pod Kielcami znane były już w XIV wieku. Poza tym kopalnie w Chęcinach dostarczały marmurów, malachitu, lazuru i miedzi. Od XVI wieku czynna była kopalnia miedzi w Miedzianej Górze *). W Radoszycach w powiecie Końskim słynne były już w XV wieku huty żelazne i kopalnie kamieni młyńskich.

Stary podręcznik geografii Święckiego**) pisze: „Przy nadaniu Przywileiu przez Elżbietę Królową, iak się powiedziało 1374 roku miastu Olkuszowi na dobywanie kruszców, odwołanie się do dawnych zwyczaiów przekonywa, iż wynalezienia i użycia kruszców w Polszcze dawnieysza była Epoka. O późnieyszych przywileiach to ieszcze wspomnieć można, Stefan Batory dał przywiley Mikołaiowi Firleiowi Kasztelanowi Bieckiemu Gasprowi Geschkau Opatowi Oliwskiemu i Szymonowi Bruschwick swemu Sekretarzowi oraz Mikołaiowi Maldendorf na szukanie kruszców po całym kraju, wzmianka ta znajduje się w opisaniu Polskich żelaza fabryk przez Xiędza Jana Osińskiego na kar: 13 dowiedzieć się tam można, iż kopalnie siarki w Swoszewicach*) niż przed rokiem 1591 istniały“. „Jan Hieronim Caccia Włoch rodem z Bergamu pierwszy w Samsonowie za panowania Zygmunta III. żelazo wytapiać zaczął i stal robić, a kiedy w Samsonowie przestano robić stali, około Kielc, Borzęcina**) i Siewierza postawiono wielkie piece przez Biskupa Szaniawskiego za Augusta II.“

Przypomnienie to jest potrzebne, wartoby bowiem zbadać, czy słuszne jest mniemanie o wyczerpaniu się niektórych z tych kopalni. Szczególnie duże znaczenie mają kruszce miedzi, występujące w okolicach Kielc (Miedziana Góra, Miedzianka, Kostomłoty koło

*) Dostarczała ona miedzi w tak znacznych ilościach, że gdy w pierwszych latach po jej otwarciu spłonął zamek krakowski, pokryto dachy odbudowanego zamku miedzią, dostarczoną wyłącznie przez kopalnię w Miedzianej Górze.

**) Opis starożytny Polski przez Tomasza Swięckiego. Tom pierwszy. Wydanie powtórne. W Warszawie 1828 Str. 129 do 730.

*) Pod Krakowem.

**) Obecnie Bodzentyn w woj. Kieleckiem.

(Dalszy ciąg na str. 2-ej)

CHROPOWATOŚCI

SNOBIZMY

Snobizm nie narodził się w Anglii, lecz tam został ucieleśniony w literaturze, jak u nas naprzykład przysłowiona już „dulszczyzna". Niewątpliwie na całej kuli ziemskiej panoszył się i dawniej, w licznych i urozmaiconych odmianach... Cała różnica, że obecnie legitymuje się zarejestrowanym w słowniku nazwiskiem.

Mówimy: „Ta iksowa miła kobieta, ale cóż za snobka!" Mówimy: „Ygrek zrobi to lub owo przez snobizm..." Snoby noszą, lub nie noszą krawatów, chodzą, albo nie chodzą na jakieś widowiska, czytają, lub nie czytają pewnych książek. Przez snobizm ludzie rozprawiają z zachwytem o muzyce, której nie znoszą, albo w s t y d z ą się przyznać, że im się coś prawdziwie podoba, że ich coś wzrusza. Nigdy nie prezentują się pomiędzy sobą: „Jestem snobem, jak pan" — ale mówią: „Jestem najzupełniej pańskiego zdania".

Przez snobizm bardzo często wyrzekamy się własnej indywidualności, własnego sądu o człowieku. Przez snobizm potępiamy, lub wywyższamy kogoś nadmiernie, odnosimy się do rozmaitych zjawisk z rezerwą, lub sztucznie robionym entuzjazmem.

Snobizm komplikuje nam życie, a jednocześnie je zubaża. Wyrzekamy się własnego smaku, wzroku, powonienia, słuchu i dotyku, palimy z pięciu zmysłów naszych bezustanne ofiary na ołtarzu takiej czy innej mody.

Dobrze jeszcze, gdy moda nakazuje snobom odznaczać się dobrymi manierami, dobrym tonem, dobrym gustem, szlachetnością, — obrazem wszelkich cnót. Gorzej, gdy jest odwrotnie. A przecież bywa i tak, że przez snobizm hołdujemy czyimś wypaczonym instynktom, oddajemy się rozrywkom głupim i płaskim, pozwalamy na kpiny z rzeczy dla nas drogich i świętych, nie protestujemy przeciw oczywistym nonsensom, przemilczamy pojawianie się zjawisk gorszących.

Bo chcemy być jak wszyscy. Postępować — jak wszyscy.

A w s z y s c y — to właśnie mister i mistress Snobb. Dla nich — jakże często! — pracują malarze, architekci, literaci, rzeźbiarze... Dla nich się ustawia, co krok krzywe zwierciadła, wypaczające obraz życia.

I dla nich również została napisana jedna z najpiękniejszych, bo najprawdziwszych bajek świata: historia o sprytnych kpiarzach i oszukanym królu, który ostatecznie sprezentował publicznie swoim poddanym własną nagość zamiast kosztownej szaty.

Ten król był protoplastą panoszących się dziś na każdym kroku snobizmów, o których każde dziecko wie, że są śmieszne w urojonym splendorze.

SOWA

D R U G I K R O K

na drodze rozwoju gospodarczego Polski

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Chęcin). Obecnie nasze zapotrzebowanie na ten ważny surowiec pokrywamy całkowicie przez import z zagranicy. To samo zresztą dotyczy rud żelaznych, które są w niedostatecznym stopniu wyzyskane, a co ważniejsze — nie wiemy wogóle, gdzie i ile tych rud posiadamy. Ostatnie badania geologiczne dowiodły, że nasza zależność od za granicy w dziedzinie rud żelaznych jest nietyle wynikiem ubóstwa, ile zupełnej nieznajomości naszych bogactw naturalnych. Prowadzone obecnie intensywne badania na terenie Centralnego Okręgu, uwieńczone jak dotychczas pomyślnymi rezultatami, pozwalają mieć nadzieję, że powstający tam przemysł hutniczy będzie miał bliskie źródła surowca. Okręg Centralny posiada poza tym znaczne pokłady ubogich w żelazo rud darniowych. Dotychczas brak dróg i odległość od . ośrodków przemysłowych, czyniły eksploatację tych rud nieopłacalną. Należy przypuszczać, że będą one obecnie wyzyskane.

Państwo, budując w C. Okręgu sieć komunikacyjną i energetyczną, zapewnia pomyślne rozwiązanie problemu ludnościowego. Powstający bowiem przemysł nie wchłonie nadmiaru ludności wiejskiej tych okolic. Znajdzie ona wprawdzie zatrudnienie, jako robotnik niewykwalifikowany, w pierwszej fazie, fazie budowy, przy robotach ziemnych i budowlanych. Z chwilą jednak uruchomienia powstających zakładów zajdzie konieczność angażowania robotników wykwalifikowanych spoza Okręgu.

Z biegiem czasu część miejscowej ludności wiejskiej po przejściu odpowiedniego przeszkolenia będzie mogła być zatrudniona w przemyśle. Ale dla utrzymania zdrowej struktury ludnościowej nie jest pożądana zbyt szybka i zbyt daleko posunięta urbanizacja.

Liczne powiaty Centralnego Okręgu posiadają żyzne ziemie, a bliskość wielkich ośrodków konsumcji pozwoli na rozwinięcie tam warzywnictwa i sadownictwa na wielką skalę. Powiększy to zapotrzebowanie rąk roboczych na wsi. Jednocześnie elektryfikacja i gazyfikacja okręgu oraz rozbudowa sieci dróg, pozwoli na rozwój chałupnictwa wiejskiego. Tania energia i dobra komunikacja umożliwia rozwój domowego przemysłu przede wszystkim tkackiego. A w przyszłości chałupniczy przemysł metalowy, ze względu na potrzebę decentralizacji w obawie przed atakami lotniczemi będzie miał olbrzymie znaczenie dla obronności państwa. Tania energia będzie na miejscu, przy odpowiednim więc wyszkoleniu pracowników i zorganizowaniu produkcji jest to zupełnie możliwe, a z wielu wymienionych wyżej względów konieczne.

Dużo się pisze o tem, że w Centralnym Okręgu powstanie przemysł metalowy (ciężki, przetwórczy i precyzyjny), przemysł mineralny oraz drzewny i związany z nim papierniczy. Ale rozwój Centralnego Okręgu byłby niezupełny i nienaturalny, gdyby nie rozwinął się przemysł przetwórczy płodów rolnych.

Centralny Okręg Przemysłowy posiada powiaty, w których szczególnie intensywnie rozwinięta jest hodowla bydła rogatego i trzody chlewnej. Powstający i istniejący już w Okręgu przemysł przetwórczy mięsny i skórzany zapewni miejscowym chłopom opłacalność hodowli dzięki zwiększonemu zapotrzebowaniu. Wiadomo zaś, jak wielki wpływ na podniesienie kultury rolnej ma rozwinięta hodowla zwierząt domowych.

Oprócz tego, rozwinie się przemysł sztucznego włókna — lanitalu —, którego produkcja jest związana ściśle z wytwórczością mleka na wielką skalę. Dotychczasowy rozwój tego przemysłu w Łodzi jest hamowany między innemi brakiem bliskich i dostatecznie dużych źródeł tego surowca.

Plan Centralnego Okręgu Przemysłowego przewiduje wykorzystanie wszystkich dostępnych źródeł energii, budowę wielkiej sieci komunikacyj wodnych i lądowych, podstawowych gałęzi przemysłu t. zw. ciężkiego, rozwój przemysłów przetwórczych w oparciu o bliskie źródła surowców i tanią energię, wraz z uwzględnieniem wymagań obrony państwa. Jednocześnie powstanie Okręgu rozwiązuje pomyślnie problem przeludnienia miejscowej wsi oraz wyzyskania marnujących się a wykwalifikowanych rąk roboczych i mózgów z innych okolic kraju.

Plan ten jest więc harmonijny i wszechstronny i dlatego można go śmiało nazwać olbrzymim krokiem naprzód na drodze rozwoju gospodarczego Polski. Tym bardziej, że nie pozostał on w sferze niewykonanych projektów, a jest realizowany i to w tempie imponująco szybkiem.

Aby jednak zapewnić szybki rozwój Okręgu Przemysłowego, konieczną zdaje się rzeczą wydanie takich zarządzeń, które zachęciłyby przedsiębiorcę do budowania zakładów przemysłowych na obszarze okręgu. Zamierzenia Rządu w tej dziedzinie nie są znane. Dotychczas uprzywilejowaną gałęzią działalności gospodarczej było budownictwo. W związku z planem uprzemysłowienia Centralnego Okręgu, a co zatem idzie i całej Polski, nieodzownym warunkiem powodzenia tego planu jest takie uprzywilejowanie inwestycyj przemysłowych, żeby opłacały się lepiej, niż budownictwo. Słusznie bowiem pisał dr. Kosieradzki w swoim memoriale: „Budownictwo w naturalnym biegu rzeczy powinno być ukorowaniem pomyślnych procesów produkcyjnych, a nie ucieczką od pieniądza. Dymiące kominy powinny poprzedzać budowę szklanych domów."

K-ażdy K-to O-szczędza (KKO)

buduje swą przyszłość

K — omunalna K — asa O — szczędności (KKO) pow. Warszawskiego z siedzibą w Warszawie, założona zaledwie przed 9 laty dla potrzeb kredytowo-pieniężnych ludności regionu podstołecznego, zdołała — pomimo panującego od lat kilku kryzysu — nie tylko ugruntować w pełni swój byt, lecz osiągnąć zarazem pokaźne wyniki swej działalności. Rozpocząwszy w końcu r. 1928 operacje swe przy kapitale zakładowym zł. 50.000.— i funduszu organizacyjnym zł. 5.000, powiększyła ta Instytucja po 9 latach kapitały swe własne do kwoty zł. 537.493, nabyła nadto przed 5 laty na siedzibę własną gmach milionowej wartości (ul. Zgoda 7) po Banku Przemysłowców.

Stały rozwój KKO pow. Warsz., oparty na zaufaniu szerokich kół społeczeństwa, znajduje sprawdzian swój w ogólnej kwocie lokat i wkładów: zł. 30.216.000, przy 42.600 wkładców (książeczek) a rocznym obrocie zgórą zł. 200 milionów.



Gmach własny KKO pow. Warszawskiego (W-wa, ul. Zgoda Nr. 7, róg ul. Złotej)

Pupilarne b e z p i e c z e ń s t w o funduszów gromadzonych i n i e w z r u s z o n a r ę k o j m i a lokat, jaką zapewnia tej Instytucji — z mocy Rozporządzenia P. Prezydenta Rzplitej z dn. 29.X. 1934 r. (Dz. U. Nr. 95, poz. 860) — Z w i ą z e k P o r ę c z y c i e l s k i (5 miast i 26 gmin podstołecznych), tworzy z d r o w e p o d ł o ż e dla działalności pieniężno - kredytowej i zarazem toruje drogę dla racjonalnej akcji w zakresie pomocy kredytowej dla dolnych warstw społeczeństwa.

Odpowiednikiem p u p i l a r n e j g w a r a n c j i lokat jest bardzo oględna i przezorna działalność przy rozprowadzaniu przez KKO kredytów.

Gromadzony przez KKO pieniądz zasila twórczo i ożywia ustrój gospodarczy, a to przez udzielanie pomocy kredytowej w zakresie drobnego handlu, rzemiosł, budownictwa i gospodarstw rolnych. O wpływie KKO podstołecznej na podźwignięcie dobrobytu szerokich mas ludności niech świadczy fakt, iż w ubiegłym 9-letnim okresie swej działalności udzieliła ta Instytucja ogółem pomocy kredytowej na sumę zł. 76.120.000.— (53.532 pożyczek i kredytów) czyli przeciętnie zł. 1422 na jednostkę.

Ogólna kwota pomocy kredytowej i jej przeciętna norma potwierdzają nie tylko wielki zasiąg czynnych operacyj, lecz zarazem i oględną metodę w udzielaniu pomocy kredytowej.

Mrówcza i rozległa działalność podstołecznej KKO przy 1.000 przeciętnie osób codziennie załatwianych od godz. 8 rano do 7½ popoł. bez przerwy w Dyrekcji i 4 Oddziałach (Pruszków, Nowy-Dwór, Piaseczno i Jeziorna) stwarza dostateczny obraz intensywnej pracy tego Zakładu narówni ze wszystkimi KKO w Polsce, które w ilości 359 placówek gromadzą 792.098.000 zł. wkładów i lokat przy 1.800.000 kont (książeczek i r-ków czekowych) z bezmała j e d n y m m i l i o n e m p o ż y c z k o b i o r c ó w.

Ogólna wytyczna działalności wszystkich KKO w Polsce oparta jest na dążności do o d b u d o w y k a p i t a ł ó w r o d z i m y c h, p r z e z s t w o r z e n i e w n a r o d z i e p i e n i ę ż n y c h z a s o b ó w w ł a s n y c h i u n i e z a l e ż n i e n i e ż y c i a g o s p o d a r c z e g o o d c z y n n i k ó w n a m o b c y c h.

PODNOŚMY WYDAJNOŚĆ WARSZTATÓW PRACY

Przemówienie prezesa Cent. Kom. Oszcz. d-ra H. Grubera wygłoszone przez Radio 30.X.1937 z okazji Dnia Oszczędności

Jak cechą złej gospodarki jest zaniedbanie zasady: „wedle stanu grobla", tak gospodarując dobrze, musimy pamiętać, że mimo powodzeń dnia dzisiejszego dzień jutrzejszy zasnuć mogą chmury. Człowiek gospodarny kierować się musi zasadą, że po latach powodzenia przychodzą lata chude, które tym boleśniej bywają odczuwane ,im łatwiej żyło się poprzednio.

W PRZEDEDNIU LEPSZEGO JUTRA

Uroczystość dzisiejsza przypada na okres, który wzbudza w nas nadzieję lepszego jutra. Warsztaty pracy bezczynne przez szereg lat, ruszyły; zatrudnienie otwiera możność zarobków i stwarza faktyczną ,a nie na filantropii opartą — siłę nabywczą; potrzeby ludności miejskiej wzrastają, rolnik zyskuje odbiorców na płody swej pracy. Cena zboża, produktu wytwarzanego w Polsce przez największą ilość rąk, wrcaa do normy; wieś, która przez szereg lat uginała się pod brzemieniem nędzy, staje się pod wpływem poprawy gospodarczej ważnym odbiorcą towarów przemysłowych. Jest to proste stwierdzenie faktów, bez nadmiernego optymizmu; wystarczy zsumować cały szereg prac wykonanych w Polsce w ostatnich ltach, aby fakty napełniły nas wiarą w przyszłość.

Jak już wspomniałem, przy największym optymiźmie trzeba być przygotowany na ewentualne niepowodzenia i mieć w sobie moralną i materialną siłą dla ich odporu. Dlatego wzrastające ożywienie gospodarki w Polsce obwiązuje nas do zwiększenia przezorności i poszanowania pracy i pieniądza.

PODSYCANIE PRODUKCJI

Trzeba więc w pierwszym rzędzie dążyć do stałego podsycania produkcji polskiej. Jak lokomotywa węgla, tak produkcja wymaga niezmiernie wytężonej pracy i bezustannego dopływu kapitału. Przyzwyczailiśmy się do określania nazwą kapitału sum, które złożone są w formie wkładów w instytucjach finansowych. Chcielibyśmy, aby instytucje te zaspakajały wszystkie kredytowe i inwestycyjne potrzeby kraju — aby były uniwersalnym środkiem na wszelkie niedomogi pieniężne, na które cierpiał kraj nasz skutkiem długich lat niewoli, wojny i następnie niedoświadczenia finansowego. Zapominamy jednak, że wielkie kapitały nie rodzą się z abstrakcji, lecz tworzą się na gruncie procesów gospodarczych, których podstawowym elementem jest sumienna i dobrze zorganizowana praca.

Ci, którzy usiłują tłumaczyć, że kapitały złożone w kasach i bankach obrazują siłę nabywczą wycofaną z obrotu gospodarczego, popełniają nieścisłość, gdyż właśnie obrazują one siłę nabywczą przez ten obrót gospodarczy powołana do życia. Tem większe gromadzą się kapitały w instytucjach finansowych, im większy jest ogólny obrót gospodarczy. Kierowanie tych kapitałów do odpowiednich łożysk i racjonalne ich zużytkowanie jest jednym z zadań polityki gospodarczej.

Nie jest rzeczą państwa prowadzić za rękę przedsiębiorcę, ale, dawszy mu ochronę prawną przy racjonalnej polityce podatkowej, stwarzać sytuację, w których przedsiębiorca ,podejmując się dzieła, praclje na własne ryzyko i liczy jedynie na własne siły. Państwo nie może być dla złych gospodarzy kasą, która zwraca pieniądze za nieudane przedstawienie.

Często słyszy się skargi: „Mógłbym zwiększyć produkcję, gdybym miał więcej kapitału". Mówią to przemysłowcy, ziemianie, mówią gupcy, mówi wielu z tych, którzy prowadząc warsztat pracy chcieliby wydajność tego warsztatu uintensywnić. Gołymi rękami uczynić tego nie zdołają, wysokość kredytu, który mogliby zdobyć w obecnych warunkach, nie zawsze zaspokaja ich potrzeby, gdyż kapitały nagromadzone winstytucjach finansowych obsługują zbyt wiele dziedzin i w stosunku do ogólnych potrzeb kraju mają wytknięte granice swego działania.

RENTOWNOŚĆ NIEUCHWYTNA

Wielkie inwestycje puszczają w ruch warsztaty pracy i zwiększają substancję majątkową narodu nie tylko na gruncie ściśle ujętej opłacalności, lecz również, gdy finansowa ocena przydatności poszczególnych dzieł, określana mianem rentowności, nie jest uchwytna. Nie da się obliczyć w gotówce rentowności szosy, wielkiej tamy rzecznej, gmachów naukowych i wielu innych urządzeń, które podoszą komfort życia narodu, a nie opierają się wyłącznie na kalkulacji rachunkowej. W okresie swego powstawania wywołują one popyt na pracę, dają możność zarobków przedsiębiorcom i robotnikom więc w tym przede wszystkim mieści się ich materialna wartość.

Żyjemy na pograniczu dwóch pokoleń i dwóch zasadniczo różnych systemów gospodarczych. Jak więc to bywa na pograniczu, powstają konflikty, które trzeba doraźnie decydować.

NASZYM CELEM: ZWIĘKSZENIE ZAMOŻNOŚCI

Pieniądz nie jest już dziś wyłącznym przywilejem możnych; jest on środkiem powszechnego użytku; nie ma już o tym mowy ,aby siła nabywcza koncentrowała się w ograniczonej ilości rąk. Uległa również zmianie rola przemysłowca, kupca i rękodzielnika. Nie jak dawniej dla wybranej garstki szczęśliwców pracują oni. Konsumentem jest wielka rzesza, która w swej większości żyje z pracy mózgów i rąk. Ma ona ograniczoną, ale trwalszą siłę nabywczą. Towarów zatem musi być coraz więcej, a cena ich musi być przystępna i godziwa.

Znana teoria o zbawiennych skutkach zwyżki cen może wchodzić w rachubę tylko przy odpowiednim jej zharmonizowaniu ze wszystkimi elementami gospodarki kraju, której ostatecznym wyrazem jest przeciętna siła nabywcza.

Jest to sprawa niezmiernie dla nas ważna. Polska, organizując się gospodarczo i stwarzając własny rynek wytwórczości i zbytu, uczestniczy w wymianie międzynarodowej, jako odbiorca i jako dostawca. Współpraca narodów nosi popularnie nazwę rynku światowego, który to rynek ma własne kryterium cen. Przekraczając ceny światowe, popełniamy błąd w zakresie wymiany, niezależnie od trudności, które grożą z tego powodu na rynku wewnętrznym.

Podnosić stopę życiową możemy jedynie z uwzględnieniem logiki gospodarczej, z przyjęciem zasady sprawiedliwego rozdziału dóbr, którego źródłem powinna być praca, oświata i postęp.

Dziś, w „Dniu Oszczędności", składając swoją część dla współpracy międzynarodowej, stwierdzamy zarazem, że najwyższym celem naszej gospodarki jest — zwiększenie zamożnośc i społeczeństwa polskiego.

BOHDAN GĘBARSKI

REWOLUCJA W STAROŻYTNYM EGIPCIE

Wielka rewolucja egipska jest jednym z najbardziej zagadkowych momentów w dziejach tego kraju. Jak dalece nieuzgodniony jest pogląd historyków na ten kataklizm dziejowy, świadczy fakt, że poszczególni egiptolodzy odnoszą go do zupełnie różnych i dalekich od siebie epok. Niewątpliwie większe i mniejsze zamieszki rewolucyjne miały miejsce w Egipcie kilkakrotnie, ale mam na myśli tu ową wielką i krwawą rewolucję o podłożu wyraźnie socjalnym, o której opowiada mędrzec Ipuwer w swym słynnym papirusie. Według jednych wypadki, o których mówi Ipuwer, miały miejsce za czasów między VII i X-tą dynastią, według innych znacznie później, tj. przed samym najściem Hyksosów, lub nawet za ich rządów. Ta druga teoria wydaje mi się bardziej prawdopodobną: w papirusie jest mowa o instytucjach zupełnie nieznanych za czasów państwa starożytnego.

Mędrzec Ipuwer składa w swym papirusie sprawozdanie faraonowi ze straszliwych spustoszeń, jakich dokonała rewolucja. Poszczególne cytaty czerpię z przekładu tego papirusu dokonanego przez A. Gardinera „The admonitions of an Egiptian sage" (Lipsk 1909) oraz ze źródłowego artykułu W. Wikientiewa, zamieszczonego w sowieckim czasopiśmie orientalistycznym „Nowyj Wastok" (Nr. 1/1922).

„Cały kraj jest zalany buntownikami" — mówi Ipuwer — „człowiek wychodzi, by orać ziemię, uzbrojony tarczą". Na drogach czatują w zaroślach, a gdy przechodzi tam w nocy samotny przechodzień, rzucają się, by zrabować jego dobytek. To co ma na sobie zabierają, a jego zabijają uderzeniami kija". „W poprzek dróg przeciągają sznury", by za pomocą ich chwytać przechodniów jak ptaki w sidła. „Gdy trzech wychodzi w drogę, to do celu dochodzi dwóch: większość zabija mniejszość". „Mordują się w rodzinach." Jak może człowiek zabijać swego własnego brata?" — woła z goryczą Ipuwer. „Człowiek patrzy na własnego syna jak na wroga". „Dozorcy mówią: chodźmy rabować".

Egipt, który był śpichrzem świata starożytnego, pod rządami rozwydrzonej tłuszczy staje się głodną pustynią. Wprawdzie „Nil rozlał, ale nikt nie chce orać, każdy mówi: „my nie wiemy co dzieje się w kraju".

Coś nam przypomina ten obraz. Kraj blisko, zaraz za naszą granicą leżący. Kraj, który był śpichrzem Europy, a od 20-tu lat głoduje. Ale analogie są znacznie szersze.

„Akta sądowe wyrzucono i ludzie depcą je nogami w miejscach publicznych, (prawa) są naruszane na ulicach miast". Wielką sądową izbę zapełniają tłumy". A w innym miejscu mówi Ipuwer: „Wspaniała sala sądowa — akta z niej porwano", zaś „sędziowie rozpędzeni są po całym kraju". „Urzędnicy są zamordowani, a ich akta porwano". — Gdzieśindziej stwierdza mędrzec.

Jak to łudząco przypomina wypadki 1917 roku. Pożar sądu okręgowego w Petersburgu. Akta sądowe wyrzucane przez okno i deptane przez oszalałą tłuszczę. Zaprawdę nic nowego pod słońcem.

Rewolucja wybuchła w czasie wojny z ościennymi narodami. Z północy ruszyli Libijczycy, z południa pogardzani Etiopowie. „Październikowe" rewolucje zwykle robi się wtedy, gdy kraj jest wycieńczony wojną.

Rewolucja i tym razem nie przyniosła sprawiedliwszego podziału dóbr. Poprostu nastąpiła zamiana ról. Większa garstka lumpen - proletariuszów wydarła możnym ich domy, stroje, złoto i kosztowności, by samym w to wszystko przystroić się, a szary bezbronny lud dalej cierpi, cierpi coraz gorzej, bo jest dziesiątkowany przez głód i dżumę, nie sieje i nie orze, bo nie wie „co dzieje się w kraju". Garstka nowej arystokracji stała się „bogaczami, a (dotychczasowi) właściciele stali się nędzarzami". Ci pierwsi „mają teraz płótno", a „dawny właściciel ubrania chodzi w łachmanach". „Ten kto dawniej nie zrobił dla siebie łódki, teraz jest właścicielem okrętu", „włada śpichrzami, a jego lamus przepełniony jest cudzą własnością". „Książęta głodują", „niegdyś zamożny człowiek spędza noc o głodzie" i mówi: „ach, gdybym miał coś jadalnego".

Jakiż jest rezultat tej pauperyzacji możnych. Oto „dawni niewolnicy podobno stali się panami niewolników". Prawdopodobnie dawna szlachta i zamożne mieszczaństwo zostało zmuszone do robót przymusowych, przyczem traktowano tych więźniów, czy jakbyśmy się dzisiaj wyrazili „izolowanych" — nieludzko. „Budowniczy piramid stali się teraz oraczami, ubrani w łachmany... są bici". „Szlachetne damy cierpią jako niewolnice". „Dzieci książąt są wyrzucane na ulicę" i „rozbijane o mury". „Wczorajsi możnowładcy starają się ratować pochlebstwem, a więc „wysławiają" nowych panów i nowy ustrój.

Jakżeż to nam przypomina współczesne hymny na cześć pewnego „ojca proletariatu".

Głęboko religijny lud egipski niszczy świątynie, rozwala grobowce, wyrzucając z tamtąd ciała umarłych „gdybyśmy wiedzieli gdzie jest Bóg, to byśmy złożyli mu ofiarę — bluźnierczo wykrzykują egipscy ateiści.

Prawdopodobnie nie wszystkie przedmioty skonfiskowane u możnych stały się prywatną własnością zdobywców. Część została... skolektywizowana. „Królewskie składnice stały się wspólną własnością". Tu Ipuwer wymienia rodzaje tych skolektywizowanych zapasów: „pszenica i jęczmień, gęsi i ryby, białe tkaniny i cienkie płótno, bronz i oleje" itd. W innym miejscu czytamy o unarodowieniu ziarna „ziarno egipskie stało się wspólną własnością".

Mimo to lud głoduje, jak zawsze w podobnych wypadkach. Je trawę. Jedzenie „wyrywa z pyska świniom". Ciekawy jestem czy były to świnie kołchozne.

Ale, jak zaznaczyłem już, analogie są znacznie głębsze. Motorem bowiem, który spowodował ten straszny kataklizm, byli jacyś wrogowie wewnętrzni, jacyś dziwni przybysze ,którzy dostali się do Egiptu przez przesmyk Sueski. Ipuwer nazywa ich „obcym plemieniem". Zaczęli oni, jak można wywnioskować z rękopisu, ogromnie szybko asymilować się, aż „nauczyli się sztuki i rzemiosł krainy bogów". Stali się jakby Egipcjanami" i w rezultacie „nigdzie nie zostało (prawdziwych) Egipcjan". „Ci, którzy byli (przedtem) Egipcjanami, stali się (teraz z ducha) cudzoziemcami. „Lud napewno (kiedyś) powie: „Niech będzie przeklęte niedostępne miejsce! Albowiem jest on w rękach tych, którzy wiedzieli o nim, jak i tych, którzy nie wiedzieli (i nie powinni byli wiedzieć) o nim. „Naprawdę lud przeklnie ich" (prawdopodobnie odstępców, którzy wtajemniczyli przybyszów w sprawy narodowe).

Cóż to byli za przybysze z przedniej Azji, którzy przyszli do Egiptu przez przesmyk Sueski? Może nas poinformuje o tym Stary Testament?

Na zakończenie swego sprawozdania, składanego przerażonemu i najwidoczniej niedołężnemu Faraonowi, Ipuwer wygłasza kilka zdań proroczych, podyktowanych gorącą miłością do cierpiącej ojczyzny i owianych czarem prawdziwego natchnienia.

W Bogu Ra cała nadzieja, w Bogu, który „nie odróżnia łagodnego od złego (bo ukochał wszystkie swe dzieci) on ochładza i to, co jest rozpalone. Powiedziano: on pasterz ludzi, niema złości w jego sercu. Kiedy stado jego rozbiegnie się, on poświęca dzień na to, aby zebrać je z powrotem". On przyjdzie kiedyś „nasienie wyjdzie z kobiety z ludu" — w proroczym natchnieniu woła mędrzec — „i zjawi się wojownik, aby zniszczyć to zło, które popełnili ludzie. „Niema sternika! Gdzie on jest teraz? Czy śpi? Dlaczego dzieła jego jeszcze nie widać?".

Późniejsze pamiętniki egipskie nic nie mówią o dziejach wielkiej rewolucji. Poprostu starają się ją przemilczeć. A szkoda!...

KAROL IRZYKOWSKI

„Hejże na kibica"

(Dokończenie)

Skiwskiego diagnoza co do mnie jest polska, i to nawet — młodopolska.

Bo oto sedno nr. 2. Za czasów Młodej Polski właśnie kwitł problemat, który dziś jeszcze straszy Skiwskiego. Jedni wówczas hamletyzowali, drudzy kajali się z hamletyzmu albo psioczyli na hamletyzm. Kiedy napisałem „Pałubę", Leck ogłosił mnie za doktrynera, za człowieka z szufladkami, Brzozowski przeciwnie, wydał diagnozę braku woli i ideałów. Wszystko bzdury. Szło przecież i — idzie zawsze — **nie o czyn w ogóle, lecz o jakość czynu.** (Właśnie — **jakość,** ja mówię o jakości, mistrzu Skiwski). Poparł moje stanowisko mimowoli Wyspiański, gdy sprostował nowoczesną legendę o Hamlecie. O to chodzi, że istnieje **czyn cudzy** i ten się popełnia najczęściej. Nie żeby „czyn cudzy" był czymś z góry nagannym, wszak jeżeli się w sobie cudzą myśl tak przetrawi, że staje się ona swoją, wtedy „czyn cudzy" jest także „czynem własnym". Lecz, że „czyny cudze" są śmieciem historii.

A ileż to się teraz popełnia „czynów cudzych"? Były one zawsze malum necessarium, ale dziś robi się z nich rozkosz i obowiązek. Skiwski, który się tak troszczy o klerkostwo dyktatora, o jego samotność — do licha, po co w takim razie kibicować dyktatorowi — niech pomyśli o psychologii klerka normalnego, któremu zostawia jako gorzki los: ciasnotę programową, ciasnotę z zasady. Hasło takiej ciasnoty grasowało wśród literatów rosyjskich — z rozkazu — przed 10 laty. Zwężali się, a potem ich zwężano o głowę (też tylko amputacja).

Czyn!? Zaiste przeraziłem się tą Skiwskiego spowiedzią z moich grzechów. Uznaję bowiem grzech przeciw Duchowi św. Nie zdobyłem żadnego miasta, nie zrzuciłem bomby, nie dałem nikomu w twarz, nie miałem sposobności. Ale w przeszłości swojej mam jeden czyn prawdziwy, za który spodziewam się łaski u Ducha św. — dwuletnią kampanię o klerkowski i demokratyczny charakter przyszłej akademii literatury. To był czyn własny. Nie zraziły mnie ani potępienia — dziś mi jeszcze nie przebaczono — ani koszty, ani „strata" czasu; bez wątpliwości, bo ich być nie mogło, bez kompromisów a jednak realnie, prostolinijnie rzecz prowadziłem we wszystkich możliwych instancjach, zyskałem i zebrałem zwolenników, walczyłem uparcie aż do końca — oczywiście przegranego, ale mogło też być inaczej.

Ile skrupułów trzeba czasem poświęcić aby czyn wybrać! Tak. Ale też ile durnych czynów trzeba poświęcić, aby wybrać czyn własny **i prawdziwy.** Co prawda, od komunistów nauczyli się ludzie, i Skiwski także, że trzeba obierać czyn **możliwy** „w istniejącym układzie rzeczy (komuniści mówią: układzie stosunków gospodarczo - społecznych), inaczej grozi utopia. Ale któż wie, co jest „możliwe"? Zawsze za nisko taksuje się możliwości — swoje i cudze, i za nisko — wartość przegranej. I oto wciąż, na każdym kroku, dochodzimy z p. Skiwskim do kwestii klerkowskich, do **kwestii osiowych.** Pomi-
Podbipięta Hejże na kibica — 2
nąć zaś ich nie sposób, gdy się ustala teorię czynów prawdziwych.

A więc spór poszedł stąd, że ja **granice ryzyka** (tego moralnego pars pro toto) **chcę przesunąć dalej** niż było dotąd, a Skiwski poprzestaje na repertuarze obecnym. Co najwyżej można tedy powiedzieć, że jest on politykiem, a ja, tymczasowo, teoretykiem, utopistą i tp. Ale Skiwski imputuje mi co innego: przesuwa te granice nie tylko dalej, lecz w nieskończoność, do nigdy. Nie moje glossy, ja cały jestem inkryminowany.

V.

Skiwskiego wola jest może bardzo silna, ale nie jest to wcale dobra wola. Wykażę to na jego zarzutach logicznych.

Jedna z moich gloss opiewa tak: „I komplikacja i prostota mogła się nadziać na szynkę. „To nie jest takie proste, nie trzeba upraszczać (mówi jeden). „Trzeba powiedzieć" po prostu, jasno i zdecydowanie" (mówi drugi).

Tu Skiwski zauważa: 1) to nie jest rewelacja, słyszymy to wciąż, czy to mają być wyżyny klerkizmu? — Otóż to **jest** rewelacja, bo ta uwaga odsłania świat ambiwalencji, antinomii zawartych w naszym życiu politycznym, — nie, źle mówię, — świat działający poza kulisami tego życia. Jeden mówi: „prostota", drugi „komplikacja", i obaj nie wiedzą o sobie, przekrzykują się wzajemnie. Trzeba ich uciszyć, **skonfrontować,** aby najpierw zgłupieli, a potem zmądrzeli. Póki ludzie nie wzniosą się ponad tę frazeologię, — frazeologię w ich ustach, bo w rzeczywistości są i tutaj problemy osiowe — póki jej nie przezwyciężą, póty — mogą budować miasta i niszczyć miasta, ale ich czyny nie mają w moich oczach wartości. „Królestwo moje nie jest z tego świata" — to dla Bendy znaczy co innego, a dla mnie znaczy: z **tego świata,** t. zn. tego, takiego, gdzie **ludzie myślą nie mózgiem lecz gwoździami w głowie.**

Dalej Skiwski mówi: 2) jako wskazówka praktyczna to na nic się nie przyda, „chyba po to, żeby stać w miejscu, bo tak czy siak dadzą po palcach". Otóż do praktyki dzisiejszej moja glossa istotnie nic nie pomoże, **łapichłopstwa** nie ułatwi, przeciwnie: utrudni, bo ludzi raczej obrazi. Ale ja, póki działam jako ja, jako klerk, — gardzę **propagandą,** okupioną takim kosztem, poprzestaję na — **pedagogii** choćby beznadziejnej.

Drugi przykład. Łaszowski twierdził sobie, że przemoc jest niezbędna dla budownictwa cywilizacyjnego, a I. wtrącił mu ostrzegając: „To, że coś tak a tak zawsze było, nie znaczy, że tak zawsze być musi, „że tych samych zdobyczy nie można osiągnąć w inny sposób". Snadź poczuwszy się tutaj szczególnie zagrożony, żżyma się Skiwski: „I. popełnia truizm bezpłodny; rozróżnienie, subtelne w dziedzinie logiki, przenosi do spraw praktycznych". Skiwski opuszcza przy tym moje argumenty szczegółowsze, w tej glossie i następnej, zostawia suchy schemat. Otóż niech prof. Łukasiewicz, na którego się Skiwski powołuje, da jednemu z nas dwójkę. Moja słuszność— twierdzę — jest nie tylko formalistyczna, ona ma znaczenie praktyczne, i to doniosłe, cały dzisiejszy przełom kulturalno - polityczny tu się rozstrzyga. Skiwski nie śmie ciężaru tej kwestii wziąć na siebie, zmierzyć się z nim, — powiada, że twierdzenie Ł. (jakoby przymus był źródłem cywilizacji) jest tak pewne, jak to, że Piotr umrze, ponieważ jest człowiekiem, a wszyscy ludzie są śmiertelni. Podstęp! Wszyscy ludzie, ale czy wszystkie cywilizacje? Skiwski mówi o „doświadczeniu wielowiekowym". Ejże! A socjalistyczne państwo Jezuitów w Paragwaju! A wywody Bourdeau o właściwych **istotnych** a nie ubocznych czynnikach cywilizacji? A wywody Marxa o tym, że cywilizacja zależy od środków techniczno - społecznych. A gdy jeszcze zwrócę Skiwskiemu uwagę na to, że działają wszędzie czynniki, które są **konieczne,** ale **nie istotne** (Witkiewicz o tym wie, bo sam ten podział stosował do estetyki), czy to będzie rozróżnienie tylko formalistyczne, tylko logiczne, a nie — potężnie praktyczne? Ileż to sofizmatów na tym tle powstaje, np. że słowo honoru jest tylko powietrzem w pewien sposób poruszonym, że czyny świętego są niczym jak tylko pewną ekspansją życiową i t. p.? Kwestia przymusu jest oczywiście bardzo ważną i uwzględniłem ją w zacytowanych już artykułach z „Pionu". Nie jestem uczonym, za mało mam wiedzy, żeby o tych sprawach napisać druzgocąco, ale nie mogę znieść u młodego człowieka argumentów lekkomyślnych, nie mogę znieść, że ktoś starszy je podejmuje, przyświadcza mu i dodaje, że „egoizm jest organicznie związany z cywilizacją" (teoria Danteca). Dlatego glossuję ponownie: jest, ale czy zawsze musi być!? Kto tutaj mówi: zawsze! ten popełnia petitio principii, ten tak sobie od razu razem z palcem ucina całą nogę. Kto mówi: zawsze! — nie zna „ryzyka matematycznego". Ja stawiam na „nie zawsze".

PS. 1. Szykany á la Skiwski, antihamletyzm itp. — to wchodzi także do mego wyśmiewanego przezeń już z góry „katalogu stanowisk" i „inwentarza chwytów". Ostatecznie wszystko jest chwytem—rzecz konieczna lecz nie istotna, — ale zobaczy Pan kiedy indziej, jaka jest tam hierarchia. Najlepsi filozofowie, Hegel, robili „inwentarz chwytów" historii czy absolutu. Ja jestem ich ubogim uczniem. Skiwski upędza się za mną, jak za osobliwym motylem, aby mnie nakłuć na szpilkę, — nie potrzeba, ja jestem w towarzystwie.

PS. 2. Pretensje Skiwskiego, abym się wczuwał w różne „napięcia dynamiczne" (10 stronnictw) są tego samego rodzaju jak pretensje 50 autorów, abym się wczuwał w ich dzieła i dusze. Gdybym te wszystkie „napięcia" uwzględniał, to bym pękł, a do żadnego własnego napięcia bym nie doszedł. A właśnie Skiwski — to jest jego lucidum intervallum — zarzuca mi skąd inąd, że chciałbym je wszystkie **ratować** (czytał może moje „aforyzmy o czynie", ale i w glossach do Ł. jest mowa o „altruizmie zastosowanym do dziedziny intelektualnej". I zaraz połapuje się: „to by było unicestwieniem czynu, bo czyn wyrasta z **wyboru"** A może: wszystkie przesłanki są do niczego i **nie ma w czym wybierać,** trzeba dosypywać przesłanek innych?

PS. 3. Byłoby dobrze, żeby inni klerkowie, zasobniejsi w wiedzę. zstępowali ze swych katedr, aby kibicować przy prymitywnych partiach, aby z burd robić seminaria

VI.

Z trudem starałem się trzymać spraw ogólnych, i uniknąć wszystkiego, co by zakrawało na demagogię lub denuncjację, ale mój przeciwnik piekielnie połączył moją sprawę osobistą ze sprawą polityczną. Chciałbym dobrze wykorzystać miejsce łaskawie mi ofiarowane przez redakcję „Podbipięty". Ale na końcu przecież trochę o precedensach i kulisach tego sporu.

To po raz trzeci już Skiwski w ten sposób na mnie napada i chce mnie zjeść (po warszawsku: spławić!). Ponieważ zaczęło się od krokodyli: Skiwski jest moim ichneumonem. Za pierwszym razem pisał, że moja bezideowość, to „polska choroba". Za drugim razem, zapewne, gdy się już zorientował, że idei jest w Polsce zatrzęsienie, poprawił się: I. jest „jedyny", oczywiście jedyny, wyjątkowy kaktus. Teraz odsądza mnie — od wiary, lecz znowu robi ze mnie preparat charakterologiczny; wydaje mu się, że już nareszcie znalazł na mnie formułę i ustalił „Fall Irzykowski". Ja bym się bał tak intymnej wiedzy. Nawet co do Boy'a — napisałem akt oskarżenia, ale bez pretensji duszoznawczych. W mojej diatrybie o charakterologii (część jej pojawi się w „Marchołcie"), wypieram się tego rodzaju znawstwa charakterów. Dla mnie charakter to treść, to problemat całego życia, ewentualnie kłębek problematów. Jestem przeciw „Gestaltqualität", która snadź Skiwskiemu zawróciła głowę. Tak, ja mam wyobraźnię, ale Skiwski ma nóż chirurgiczny.

W Warszawie nie znają się na merytoryzmie. Zamiast dyskutować o zagadnieniach, za każdym razem dyskutują — nie, plotkują o osobach. To samo co Skiwski robili ze mną Miller, Napierski, Brzękowski, Słonimski; każdy odkrywał jakiś „zasadniczy" brak w mojej organizacji duchowej, zostawiając mi na pocieszenie: małpią zręczność, sumienność, pilność i t. p. Po co to. Nie uważam się za tak ważnego jako okaz. Nie nudźcie mnie — mną.

Skiwskiemu wiadomo, że przygotowuję książkę p. t. „Wyspa atakująca, program klerkowski". Należało poczekać, zachować pełną parę. Po co to zgadywanie, zagadywanie, wyprzedzanie, ten pośpiech? Czy chciałby „rozładować" moje „napięcie dynamiczne" w doraźnych polemikach? Czy chciałby mi zepsuć apetyt? Albo uwolnić od dalszej fatygi? A że Skiwski lubi porównania restauracyjne, powiem: pluje mi w moje garnki, przeklina potrawę za wczasu, jak druga kucharka, z naprzeciwka. To nieładnie. A tę trucicielską miksturę, którą mi Skiwski podaje z tak przyjacielskim uśmiechem, — z uśmiechem odsuwam. Sam dosyć wiem o sobie, proszę mi do skruchy nie dopomagać.

WIEK TOMBAKOWY

Dawno już wyrobiłem sobie pogląd na dzieje jako na reinkarnację — nie osób — ale zdarzeń i sytuacji, dopiero cenny z szeregu względów artykuł p. Jana Malewskiego [1]) zmusił mnie do pewnej korekty tej historiozofii. Odrazu uznawszy konieczność zastąpienia szeregu produktów ersatzami, pojąłem jaki **Przełom** czeka nas lada dzień: jak wieki: złoty, srebrny, etc, tak nasz wiek akcyjno-banknotowy ustąpi z kolei nowemu: **tombakowemu.** Już we śnie stanęła przede mną personifikacja najnowszego ładu: uroczy **małpiszon w lanitalowej** kiecce, **półjedwabnych** pończoszkach i **gumowo-płóciennych** półtrzewikach, w gronostajach **z królika,** w biżuterii **doublé** i **paryskich perłach,** z hawańskim cygarem z wołyńskiej **machorki,** w ukarminowanych **aniliną** usteczkach, w jednej ręce dzierżący **tombakową** czarę swojskiej poczciwej **gorzały,** w drugiej zaś — **bakelitową** filiżankę **zbożowej** kawy z sacharyną, roztaczający uroczy zapach zjełczałej **margaryny.** Jeszcze jej wiek nie nastał — ale wiele z jego piękności możemy wyczuć — przede wszystkim możemy ustalić granice tego świata szczęśliwości, nad którego bramą jaśnieje neonowy napis **W braku laku...** itd. — granice szersze ,niż naszego. Bezkresna przestrzeń, w której żyli nasi przodkowie, z czasem zmalała do rozmiarów drobnej kulki, głos na jednym końcu której słychać na drugim — no, ale powoli tworzymy sztuczną przestrzeń z paszportów zagranicznych, przepisów dewizowych, ceł, z wzajemnej nienawiści, nieufności i nieznajomości narodów — w tej sztucznej przestrzeni podróż np. z Warszawy do Kowna będzie ryzykowniejsza, dłuższa i rzadsza niż za Mendoga.

Rosnące bezrobocie proletariatu i bankructwo burżuazji doprowadzi wreszcie do obywania się i bez kapitału i bez pracy — całą skomplikowaną maszynę kapitalizmu zastąpimy różnymi ochotniczymi obozami przymusowej pracy. Czas wolny od niej spędzali będziemy wesoło przy kawie, oczywiście zbożowej, bo prawdziwa będzie służyła — jak już dziś — do palenia dla oszczędności węgla, potrzebnego dla wyrobu nafty. Przy tak wielkim zużyciu zboża na kawę, w produkcji chleba, zastąpimy je częściowo mąką kartoflaną i kasztanami — smarować ten chleb będziemy przeważnie marmeladą ananasową i z jabłek. Dla odmiany będziemy czasem jedli sago z kartofli.

Danie obrazu życia politycznego i umysłowego tombakowego wieku przekracza me skromne zdolności. Powiem tylko, że zaniknie i monarchia, zastąpiona przez majestat różnych fuehrerów i parlamentaryzm — na rzecz ersatz - parlamentaryzmu. Będzie to epoka najantydemokratyczniejsza, a zarazem najdemokratyczniejsza, w której żaden łobuz spod mostu nie może ręczyć, czy już za tydzień nie będzie podpisywał rozkazów z dodaniem tytułu **szef drużyn ochronnych.** W ogóle, wiek tombakowy zrealizuje szereg postulatów socjalistów, ale w sposób zgoła przez nich nieoczekiwany. Tak więc zaniknie własność prywatna, lecz zastąpi ją nie własność publiczna, a różne lenna dziedziczne etc. W wieku tombakowym zanikną i wojny, zastąpione przez konflikty zbrojne, przy których nikt nie będzie tracił czasu na ich wypowiadanie. Z biegiem czasu zaniknie może i armia, zastąpiona przez różne szturmówki — zresztą szczęk oręża zamilknie istotnie na rzecz łagodnego plusku iperytu, powiewu fosgenu i dudnienia łomów o czaszki w wewnętrznych rozgrywkach. Niezastąpione przez bujnie rozwijające się sądownictwo administracyjne, przyżyte resztki sądownictwa znajdą zabójczego konkurenta w sądownictwie prywatnym; nadto, powszechny już dziś bunt przeciwko przeżytej zasadzie nullum crimen sine lege uczyni wreszcie zbędnym jakikolwiek kodeks. Zanikną i więzienia; lokatorzy ich z rozkoszą będą obywali się obozami koncentracyjnymi. Obmierzłą szubienicę zastąpi kolba rewolweru. Znikną sprawy i polityczne i kryminalne — przeciwników politycznych będzie oskarżało się zwykle o wykroczenia natury erotycznej; kryminalnych zaś — o polityczne pobudki. Nawet w grzechach niekarnej natury znajdziemy polityczny podkład — już dziś w Leningradzie wykryto straszliwą organizację antypaństwową O. L. W. I. Z. t. j. Towarzystwo Lubiących Napić się i Przekąsić. — Zanikną też partie polityczne, zastąpione przez różne obozy, unie, kluby.

W ogólnych zarysach kształtuje się już i duchowe oblicze tombakowej ery. Przede wszystkim w życiu religijnym realizują się — acz osobliwie — postulaty p. Litauera, era: narody, zbywszy się kłopotu z Panem Bogiem, przysięgną (fałszywie, oczywiście) na majestat swych władców, że tylko im składać będą z całego serca (też fałszywego!) modły. W dziedzinie nauki zaznaczy się przede wszystkim prawie zupełne wyparcie używalności pisma na rzecz radia. Historiografia skurczy się w pojemności o 99,9%: punktem wyjścia dla niej będzie narodzenie się każdorazowego władcy — z chwilą jego śmierci, na liście lokatorów niebytu przybędzie jedno nazwisko. Ekonomikę zastąpią ekstatyczne, słodkie (bo z sacharyną) zachwyty nad światem szczęśliwości, chrzczonym mlekiem i miodem z melasy płynącym. W dziedzinie polityki poważnym ułatwieniem będzie zastąpienie wszelkich programów t. zw. hasłami w rodzaju: **Podciągniemy rodaków wzwyż na latarnie! Frontem do wierzchowca Pana Jezusowego! Stolica w kwiecie lipowym** (syntetycznym, **oczywiście)!** Będzie i ersatz opozycji, wyrażający swe ideały w jedrnym skrócie: **naj bude, jak buwało!**

Powszechny błogostan ogarnie i nieme zwierzęta. Przed paru dniami czytałem o baranie, który zabódł pastucha na śmierć, usiłując imitować byka. Wiadomo, że nastrój ludzi działa na współżyjące z nimi istoty — w podniosłej atmosferze wieku tombakowego nawet marny kot z powodzeniem zastąpi krwiożerczego jaguara. Nikt oczywiście strzyc owiec nie będzie — będziemy chodzili w ubraniach z mleka.

— — — — — — — — — — —

Kowale tombakowych czasów nie zdają sobie sprawy, ile zawdzięczają one wyklinanemu przez nich XIX w. — wiekowi właśnie tandety i ersatzu. Zaczęło się od fałszowania indyga aniliną; woli ludu różnymi masoneriami i liberalizmu liberalną Sureté Generale, szlachtującą dzieci swych wrogów — skończyło na zawiśnięciu **między przeszłością a tym, co nas czeka** na lanitalowym kocu-samolocie, w towarzystwie bojówkarza, ucharakteryzowanego na rycerza idei, — i barana, twierdzącego, że jest bykiem, albo dla odmiany, reformatorem świata.

ASKOLD

[1]) J. Malewski: **Masło i armaty** — „Podbipięta", nr. 42.

DWA PROROCTWA ROMANTYCZNE

ALFRED DE MUSSET — MARIANO JOSE DE LARRA

Mija w tym roku lat 75 od śmierci Alfreda de Musset i lat sto od śmierci Mariana Larry, którego godziłoby się nazwać Mussetem Hiszpanii.

Niech bratnie dusze poetów przemówią dzisiaj do Polaków. Ojcowie nasi Musseta kochali, a my, dzisiejsi dosłuchać się o nim możemy obecnie nowej aktualności dziejowej, gdyż strofy „Rolli" brzmią teraz, jak proroctwo, spełniane nawrotem do germańskiej Walhalli, wskrzeszeniem religii wojny i przemocy na miejscu obalonego przez neopogaństwo krzyża i pokoju.

Aktualny też staje się i Hiszpan Larra, opisujący *wojnę domową w swojej ojczyźnie przed stu laty* tak, jakby była fragmentem krwawej doby dzisiejszej.

Jako motto niech służy pieśń romantyka Michaux-Mirona o uwielbionym Mussecie.

POD BIUSTEM ALFREDA DE MUSSET

„Ha, przybyłem zapóźno na ten świat zbyt stary!"
Mówił, ziewał i po tym szedł, melancholicznych
Milioner myśli, gasić młodej piersi żary
W marmurowym uścisku Aspazyj ulicznych.

I z szatańskim cynizmem i fantazją grecką
Tragedię życia grając, śmiał się z przeznaczenia,
A serca swych kochanek, tak jak piłkę dziecko,
Rzucał w błoto, lub kwiaty — szczęścia, lub cierpienia.

Czasami tylko ze snów ta dusza znudzona
Budziła się, by w szale śpiewaczej zawiści
Wawrzyny z Jowiszowej rwać skroni Bajrona,

Albo w piekle Dantejskim czerpać treść do marzeń,
Co oplotły jak wstęgi cyprysowych liści
Pomnik jego mogiły, gdy zmarł z głodu wrażeń

Miron.

ALFRED DE MUSSET

P A M I Ę T A J!

Pamiętaj! kiedy jutrznia bojaźliwa
Otwiera słońcu pałac promienisty...
Pamiętaj! kiedy w rozmarzeniu spływa
Noc zadumana w zasłonie srebrzystej...

Gdy drży na luby głos rozkoszy łono twoje...
Gdy cię o zmroku nęcą słodkich marzeń roje —

Słuchaj jak w puszcz głębinie
Głos cichy, szemrząc, płynie...
Pamiętaj!

Pamiętaj! gdy wyroki z poza świata
Rozdzielą nas w przeznaczeń poniewierce,
Kiedy cierpienie i rozłąki lata
Spopielą zrozpaczone moje serce...

Śnij o miłości mojej, śnij o rozstania chwili...
Ni czas, ni oddalenie miłości nie przesili —

Póki sił sercu stanie,
Nie zmilknie to szeptanie...
Pamiętaj!

Pamiętaj! kiedy w chłodnym ziemi łonie
Na zawsze moje serce się ukoi...
Pamiętaj! gdy samotny kwiat zapłonie
Łagodnym blaskiem na mogile mojej...

Już mnie nie ujrzysz nigdy, ale z tobą wszędzie
Mój nieśmiertelny duch jak brat twój wierny będzie...

Posłuchaj, jak się żali
Głos cichy w mroku fali...
Pamiętaj!

Przełożył Władysław Nawrocki.

ALFRED DE MUSSET

R O L L A

(FRAGMENT)

Czy wam żal tej przeszłości, gdy z gwiaździstych [progów
Wyszło niebo na ziemię, by żyć w rzeszy bogów?
Gdy Wenera Astarte, córa gorzkiej piany
Otrząsała, dziewicza, swej matki łzy mętne
I wyżymając włosy, użyźniała łany?

Czy wam żal tej przeszłości, gdy Nimfy namiętne
Na słońcu kołysały się wśród kwiatów wodnych
I wybuchami śmiechu płocho zaczepiały
W trzcinowych gniazdach Faunów, słodkiej drzemki [głodnych?

Gdy zdroje od Narcyza pocałunków drżały?
Gdy Herkules, odziany skrwawioną lwią skórą,
Z północy na południe — z maczugą kamienną —
Chodził i — sprawiedliwy — czuwał nad naturą?

Gdy Sylwany szydercze w każdą noc płomienną
Bujały się na karkach dębów, puszczy królów,
I echem przedrwiwały piosenki pasterzy?
Gdy wszystko był boskie, aż do ludzkich bolów?

Gdy świat w to wierzył ślepo, w co dzisiaj nie wierzy?
Gdy bogom nie bluźniły usta ateusza?
Gdy wszyscy żyli w szczęściu, wszyscy, prócz jednego
Na wyżynach Tartaru skał — Prometeusza,
Starszego brata czarta, jak on przeklętego?
I gdy świat i na świecie wszystko się zmieniło,
Święte gniazdo ludzkości stało się mogiłą,
I huragan północy na Rzymu ruiny
Rozpostarł całun strasznej zniszczenia lawiny?

Czy wam żal tej przeszłości, gdy z wieku ciemnoty
Zrodził się więcej bujny i cudny wiek złoty?
Gdy stary świat jak Łazarz obudził się nowy
I czołem odmłodzonem strzaskał głaz grobowy?

Czy wam żal tej przeszłości, gdy do świata cudów
Mknęła pieśń trubadurów na skrzydłach złocistych?
Gdy natchnienia, pojęcia i pomniki ludów
Płynęły w dziewiczości swej szatach śnieżystych?
Gdy strumień odrodzenia bił z Chrystusa dłoni?
Gdy pałace książęce i mnichów pustelnie
Nosiły krzyż jednaki na promiennej skroni
I z gór ukazywały niebiosa weselnie?
Gdy Kolonia i Strasburg, Katedra Piotrowa
I Nôtre Dame w płaszczach z białych klęczały mar- [murów,
A Hosanna, pieśń nowej epoki godowa
Rozlegała się w głosie milionowych chórów?

Czy wam żal owych czasów, co wszystko zdziałały,
Co na swych kartach Świętych wypisały dzieje?
Gdy z ołtarzy w objęcia zwał krucyfiks biały?
Gdy życie miało młodość, śmierć — życia nadzieję?

O, Chryste! ja nie jestem z tych, co wota złote
I modły, drżąc, do Twojej świątyni zanoszą,
Ni z tych, co w pierś się bijąc, dążą na Golgotę
I nogi Twe skrwawione całują i proszą...
Jeśli stanę w portyku Twych świątyń zmroczonych,
Gdy powiew hymnu gnie lud, mruczący pacierze,
Niby wicher północy gaje trzcin zielonych,
Nie gnę czoła, bo w słowo Twe święte nie wierzę...

Ja przybyłem za późno na ten świat zbyt stary...
Z wieku zwątpień się rodzi wiek takiej odwagi.
Komety naszej ery — świat cudów i wiary.
Wyludniły i z groźnej odarły powagi.

Dziś przypadek prowadzi po mroków krainie
Ze złudzeń uporczywych — rozbudzone mózgi,
A duch ubiegłych czasów, błądząc po ruinie,
Miota w otchłań nicości Twych aniołów druzgi.
Golgoty ćwieki służyć odmawiają Panu,
Ziemia otwarta woła Twej, Chryste, mogiły;
Umarła chwała; u nas na krzyżach z hebanu
Twoje zwłoki niebieskie w proch się obróciły.

A jednak daj zcałować usty gorącemi
Proch ten, dziecięciu wieku, co Twą wiarę grzebie,
I płakać daj, o Chryste, nad losem tej ziemi,
Co żyła przez śmierć Twoją, a umrze bez ciebie?
O! kto jej dziś, mój Boże, kto da zmartwychwstanie?
Krwią Twoją odmłodziłeś ją — najczystszą, Panie;
Dziś Twój następca, Jezu, godny nie przychodzi,
Nas, starców urodzonych wczoraj, kto odmłodzi?
Bo myśmy starcy, starsi niż ci za dni Twoich,
I tyleśmy czekali, a więcej stracili,
I bledszy, bardziej zimny, raz drugi w tej chwili
W niezmiernym grobie Łazarz czeka cudów Twoich.

Gdzież więc Zbawca, co nasze otworzy mogiły?
Gdzież stary święty Paweł, gromiący Rzymiany,
Wiążący lud swoimi boskimi łachmany?
Gdzie cenaclum i gdzież się katakumby skryły?
Słup ognisty przed jakim idzie ludem mnogim?
Na czyje stopy płyną Magdaleny wonie?
Gdzież w powietrzu głos więcej niż ludzki grzmi, [płonie?
I któż z nas, kto z pomiędzy nas — ma zostać bogiem?
I ziemia znowu stara, znowu zwyrodniona,
Tak samo dzisiaj trzęsie głową, zrozpaczona,
Jak wtedy, gdy dla puszczy Jan porzucił miasta,
I kiedy mrąca ziemia na Janowe słowo,
Wstrząsnąwszy się jakoby ciężarna niewiasta
Czuła, że łono wzbiera falą życia nową.

Klaudiusza czas powrócił, Tyberiusza lata:
Jak wtedy wszystko z czasem umarło dla świata;
Saturn krwi swoich dzieci dopija ostatka,
A nadzieja ludzkości, ta zbyt płodna matka,
Cofa łono, skrwawione ssaniem tylu dziatek
I spoczywa bezpłodnie — najpłodniejsza z matek.

Przekład Mirona i Wład. Ordona.

MARIANO JOSE DE LARRA

FIGARO NA CMENTARZU

W dzień Zaduszny poczułem brzemię tak bezbrzeżnego smutku, o jakim tylko Hiszpania liberalna może dać pojęcie.

Ktoś, ktoby wierzył w przyjaźń i ważył się wystawić ją na próbę, więc na przykład młokos zakochany po uszy, kapitalista, posiadający całą fortunę w papierach państwowych, wdowa, z emeryturą gwarantowaną przez skarb hiszpański, żołnierz, który postradał nogę w walce o konstytucję, a teraz niema ani konstytucji, ani nogi, generał, polujący na karlistów-powstańców, czyli będący wiernym konterfektem wiatru w polu, dziennikarz, wsadzony do więzienia w imię wolności prasy, nawet minister, nawet król konstytucyjnej Hiszpanii — wszystko to są okazy szczęścia i zadowolenia w porównaniu ze mną, kiedy mię żre melancholia.

Chodźmy stąd, chodźmy czem prędzej! — krzyknąłem jak na występie aktora hiszpańskiego, albo przy mowie poselskiej w Kortezach. Wyszedłem na ulicę wolno i z tak niewzruszonym spokojem, jakbym miał nakazane przeciąć odwrót powstańcom generała Gomeza.

Mieszkańcy długim wężem ciągnęli na cmentarz za bramy Madrytu. A ja zapytywałem sam siebie: Czy cmentarz jest istotnie za murami, czy raczej nie w obrębie murów. Poczułem zamęt w głowie, lecz wnet uświadomiłem sobie, że cmentarz jest napewno wewnątrz miasta, że właśnie Madryt to cmentarz. Przecież tu każdy dom jest grobem rodziny, każda ulica lochem podziemnych knowań, każde serce — urną z popiołami czyjejś nadziei, porywu...

I podczas, kiedy tamci, którym się troi, że żyją, szukali zmarłych za murami, ja, przepełniony litością, zacząłem krążyć po ulicach tego starego, opustoszałego na chwilę cmentarzyska.

„Obłąkańcy! — wołałem do przechodniów, śpieszycie do umarłych za miasto? Czyżby wam Gomez już wytłukł powstańczemi strzałami wszystkie lustra w Madrycie? Przypatrzcież się w nich sami sobie, a każdy z was odczyta na czole własnym grobowe epitafium. Idziecie w odwiedziny do ojców, do przodków, a to wy, właśnie wy, jesteście — nieboszczycy! To tamci raczej żyją, bo zaznali spokoju... I nawet posiedli wolność, jedyną, jaka dostępna bywa tutejszym ludziom, tę wolność, jaką zapewnia nam śmierć. Po tamtej stronie już się nie płaci podatków, nikt nie taksuje dochodów, i nikt nikogo nie denuncjuje, ani nie więzi. I oni jedni, nieboszczycy korzystają z wolności prasy, naprawdę, bo śmierć przemawia do świata wyraźnie, głośno, bez obaw, że cenzura zadecyduje konfiskatę, albo nałoży kajdany".

A to co za pomnik? — zadałem sobie pytanie na początku pielgrzymki po cmentarzysku madryckim. Czy to trup wieków minionych, czy grób świeższych szkieletów?... *Pałac królewski!* Fasadą patrzy na Madryt, czyli na tłum grobów, a bokiem lękliwie zerka ku Estramadurze... Na frontonie jest napis: „Tu leży królewskość. Urodzona za Izabeli Katolickiej, zaziębiła się wskutek przeciągów z prowincji". Na dole berło, korona, insygnia potęgi. Nad grobem statua: olbrzymia, cała we łzach, istny monument wierności i praworządności... Chłopcy uliczni ciskają kamieniami w jej twarz... Niewdzięcznicy!

A tam, na lewo, jakież to mauzoleum? Aha, *arsenał* z napisem. „Tutaj spoczywa na wieki wieków męstwo kastylskie w pokoju".

Szereg Ministerstw. „Tu gnije połowa Hiszpanii". Zachorowała i zmarła na atak drugiej połowy...

A trochę dalej, o nieba! „Tutaj spoczywa *Inkwizycja*, córka wiary i fanatyzmu, zgasła na uwiąd starczy."

Przechodnie coś pod spodem dopisali kredą. Trudno odczytać nawpół zatarte litery. Zdaje się, że w gryzmołach świta słowo „Rząd"... Bluźniercze ręce świętokradców, paskudzących mury, nawet takiej mogiły nie uszanowały!

Opodal co? *Więzienie.* „Tu wolność myśli". Mocny Boże! U nas, w Hiszpanii, gdzie nam przemocą kazano być wolnomyślnemi, ukatrupiono wolną myśl?!

Dalsze ulice to już nie groby, ale katakumby. *Handel, przemysł, uczciwość* chrapią tu w śnie wieczystym, spiętrzone jedne na drugich. Do widzenia w dolinie Józefata!

Giełda. Tu pogrzebano cały kredyt hiszpański. Gmaszysko jak piramida, a pogrzebano pod nią taką drobnostkę, takie zero jak nasz kredyt.

Prasa ojczysta. „Tu próchnieje prawda". Jedyna to mogiła, na której czasem można zerwać kwiatek z ziemi zagnojonej.

Plac Zwycięstwa. — Dla niego cała Hiszpania jest grobem. Pomnika brak, lecz jest napis, ledwie dostrzegalny: „Izba poselska" wynajęła ten plac (Zwycięstwa!!) na stałe i na dogodnych warunkach.

Teatry. Tutaj leżą pokotem geniusze Hiszpanii. Kwiatów, pomników, nawet napisów braknie.

Noc zapada, i psiska zaczynają wyć. Zewsząd czuje się śmierć. Wielka stolica, olbrzym w agonii, miota się przez sen z charkotem i zawija się coraz szczelniej w swój całun.

Przełożył St. Miłaszewski.

WITOLD CHWALEWIK

Z wrażeń anglo-francuskich

x

NA GROBIE CHESTERTONA

Po sześciu — nie, po ośmiu — latach nie poznawałem Beaconsfield — miasteczka, które znałem zresztą z jednym tylko kilkogodzinnych odwiedzin. (Mieszkańcy zowią je Bekonsfild, reszta Anglii ku zgorszeniu mieszkańców wymawia Bikonsfild). Jak przed laty, znów przybyłem, aby odwiedzić dom zwany Topmeadow, choć wiedziałem, że tym razem nie zastanę gospodarza. Na nowo, patrząc na domy, ni to znajome, ni to nieznajome, depcząc żwir Beaconsfield, uświadamiałem to sobie raz jeszcze: że nie ma pośród żywych Chestertona.

Stąpałem trochę nie pewnie, gdyż straciłem zrazu orientację. Tej strony miasta bodaj nie znałem. Pamiętałem wprawdzie dobrze gamę barw uroczego miasteczka - ogrodu: żółtawe nawierzchnie jego jezdni, różowo - czerwoną cegłę domów, szczelne zielone zapory żywych płotów, ogradzające prywatne tereny nie dla formy (jak u nas), lecz po to, aby rzeczywiście zasłonić je przed wzrokiem ciekawych. Gama barw była znajoma, o kierunek musiałem spytać. Zagadnąłem jakiegoś poważnego miejscowego obywatela:

— Jak się idzie stąd do Topmeadow?

Businessman się zastanowił.

— Topmeadow?... Zaraz... *Somebody lived there a writer!...* — przypomniał sobie niebawem, choć trudniej było potem z imieniem pisarza.

Czyż mogłem oczekiwać, że wszyscy mieszkańcy Beaconsfield zamienią się w żywe pomniki kultu Chestertona? Przecież Anglicy nagół nie interesują się literaturą. Wiedziałem dobrze o tej prawdzie: a jednak żywiłem mimowolną urazę do informatora, co nie mógł znaleźć w pamięci nazwiska Chestertona.

Wskazał mi przecież uprzejmie drogę do Topmeadow, powiedział, ile razy skręcić na prawo, ile na lewo, i kiedy iść przed siebie. Wzdłuż murów i żywopłotów posuwałem się odtąd raźno. Minąłem dom Garvina. *„The Observer“*, znana w całym świecie tygodniowa gazeta, wychodząca co niedzielę w Londynie, redagowana jest przez seniora publicystyki angielskiej z Beaconsfield. Dom Garvina posiada własne telefoniczne połączenie z Londynem. Raz na tydzień redaktor odwiedza stolicę, poza tym rząd nad gazetą sprawuje, podobno nader autokratycznie i sprężyście, z dalekiej willi przez telefon.

Po kwadransie przechadzki stanąłem wreszcie u celu. Była wczesna pora przedwieczorna, nic nie zakłócało ciszy iście angielskiej. Chmurnawe niebo potrosze nabiegało pogodniejszym perłowym światłem. Nie było słychać niczyich kroków w ogrodzie, ani na razie wewnątrz domu, gdzie zasiadłem naprzeciw długich rzędów książek, co nie dawno były towarzyszami pracy i myśli Chestertona. Milczenie wydawało się echem umilkłej dyskusji, którą wiódł z ich autorami. On umilkł, umilkli i oni, i stali się cząstką muzeum. Nieruchomi i niemi, połyskiwali złotymi literami nazwisk, aby obecnością zbiorową przypominać o nieobecnym.

Pietyzm małżonki najtroskliwiej przechowuje w tym domu wszystko, z czym łączy się pamięć o pisarzu.

Utrzymanie ciągłości wspomnień sprzyja obecność Miss Collins, która przez szereg lat sprawowała obowiązki pilnego i czujnego sekretarza przy jednym z najbardziej roztargnionych autorów, a po jego śmierci nadal zamieszkuje z panią Chesterton, jako jej towarzyszka i przyjaciel i razem z nią stróż pamiątek, zwłaszcza związanych z techniczną stroną pracy literackiej. Zaciekawiły mnie wśród nich manuskrypty. Chesterton, od czasu, kiedy po złamaniu ręki zaczął doświadczać trudności przy pisaniu, dyktował wszystkie swoje utwory niemal bez wyjątku. Pierwopisy ballad, sonetów, essayów, artykułów, zarówno wystukiwane były na maszynie. Tylko w rzadkich wypadkach, gdy nie miał komu dyktować, własnoręcznie utrwalał swe myśli na papierze zadziwiająco ozdobnym, aczkolwiek rutynicznym pismem, cokolwiek przypominającym gotyk i cokolwiek secesję. Ze czcią pochyliłem się nad tymi manuskryptami. Było takich kartek w sumie nie mało. Pisane były wszystkie ołówkiem, bez przekreśleń. Chesterton pisał, jak mówił i jak myślał, z pracowitego, ozdobnego pisma żaden wyraz nie szedł na marne. Niewątpliwie, dlatego tylko mógł zostawić tak dużo, że tworzył z tak szczęśliwą swobodą. Zaiste urodził się pisarzem - publicystą.

Przy świetle lampy Miss Collins przeczytała głośno dwa urywki, przeznaczone w swoim czasie dla tygodnika „G. K.'s Weekly“. Przypadkiem oba pozgonne: jeden o królu Jerzym, drugi o Kiplingu. Dwa przykłady ulotne publicystyki chestertonowskiej: lecz gdy skończyła, milczeliśmy przez chwilę. Uderzyła nas ponownie zadziwiająca u tego pisarza zdolność myślenia.

— *It's packed nith profound thought* — szepnęła nad skrawkiem papieru...

Pytałem ją o ostatnie dni pisarza, który przecież prawie do końca cieszył się mimo tuszy dobrym zdrowiem. Okazało się, że niebawem po powrocie z Francji, gdzie wykończył (tj. skończył dyktować) „Autobiografię“ (pierwsza jej część była gotowa jeszcze przed podróżą do Polski w r. 1927), z początkiem czerwca r. 1936 Chesterton poczuł się bardzo osłabiony i niezdolny do wszelkiej pracy. Musiał się położyć do łóżka. Stwierdzono chorobę serca, przyczym wprędce wywiązał się stan beznadziejny. Pacjent nie zdawał sobie jednak z tego sprawy, i liczył na swe wyzdrowienie. Ostatnie dwa dni spędził nieprzytomnie. Przed tym przyjął sakramenty. Pochowany został na cmentarzu katolickim w Beaconsfield.

Zanim ściemniło się, odwiedziłem miejscowy kościołek katolicki, gdzie proboszcz, konwertyta, były oficer wysokiej rangi z czasu wojny, zaprawiał paru chłopców w sztuce śpiewu. Kościół, pod wezwaniem świętych męczenników angielskich, Fishera i Morusa, ma zostać przebudowany i poszerzony staraniem Komitetu uczczenia pamięci Chestertona, który zawiązał się po jego śmierci, i zbiera na powyższy cel fundusze.

Na czele Komitetu stanął arcybiskup Westminsteru. Pod odezwą, obok szeregu pisarzy katolickich, przyjaciół Chestertona, nie wahał się podpisać i stary jego antagonista, Bernard Shaw... Czy nie znajdą się i w Polsce wdzięczni czytelnicy pisarza, co pamięć jego chcieliby i ze swej strony uczcić datkiem choćby najmniejszym, na budowę katolickiej świątyni w Beaconsfield?

W rozmowie z panią Chesterton o Polsce niespodziewanie, wśród innych poloniców, padło także nazwisko Doboszyńskiego. Przetrwało w pamięci domowników w zniekształconej cokolwiek postaci: Dobrczyński, prawdopodobnie dlatego, że ta wymowa, jako trudniejsza, wydała im się prawdopodobniejsza i bardziej polska.

Doboszyński Adam, jak się okazało, mieszkał parę miesięcy u proboszcza, Monsignora Smitha, dla nauki języka, i parokrotnie odwiedził także Topmeadow, zostawiając u gospodarzy sympatyczne wspomnienie. Bardzo niespodziewana po tym wszystkim była wiadomość, którą pewnego dnia przyniósł pani Chestertonowej Monsignor, że Doboszyński manifestował zbrojnie w polskim mieście powiatowym, popadł w konflikt z policją i został aresztowany. Pytały, co o tym myślę. Wyjaśniłem, że choć znam Doboszyńskiego, czyn jego był dla mnie niespodzianką conajmniej taką samą, jak dla mieszkańców Beaconsfield.

Dzięki wielkiej uprzejmości pani domu, przenocowałem w Topmeadow. Przed zaśnięciem długo czytałem zebrane przez Miss Collins wycinki z gazet, opisy pogrzebu, artykuły i wspominki. Uświadomiłem sobie raz jeszcze, jak nie przygotowana do pisania o Chestertonie jest krytyka angielska..

Poza kołami katolickimi nie czytywano go z intencją poważną i nie poznano. Z przykrością wertowałem do końca album z wycinkami. Artykuł Bryanta Arthura (w Ill. London News, na Wszystkich Św. r. 1936) był to jedyny może w tej paplaninie głos poważny i szlachetny.

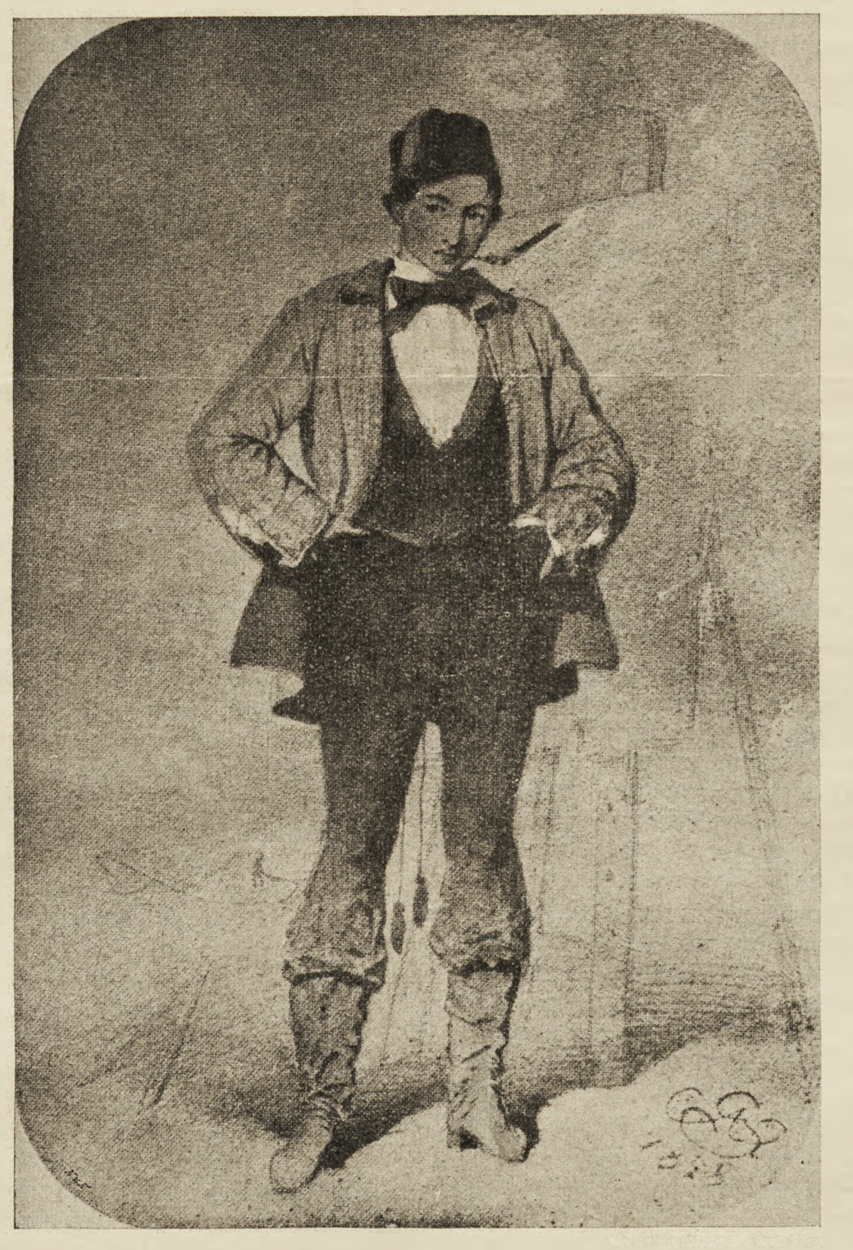
Nazajutrz rano, po paru minutach jazdy autem, znalazłem się na miejscu wiecznego spoczynku Chestertona. W kącie cmentarza, dziś pustym. dwa podłużne wzgórki ziemne, zarosłe trawą, bez żadnych jeszcze nagrobków, ani pomników. Pod jednym z nich legł pisarz. Wieczny odpoczynek...

Światło nie wiekuiste, ale lipcowe słoneczne przez szczelinę w niebie pochmurnym padło na grób zielony i rosnące na nim ulubione kwiaty Chestertona, żółte mlecze.

Opuszczając cmentarz, i śpiesząc się na pociąg, uniosłem widok ten w oku. Z wagonu patrzyłem niedowierzająco na krajobraz: czy ten sam, czy żadnych na nim śladów żałoby po człowieku, co tyle Anglii miał w sobie i zszedł pod ziemię? Ale nic. Kołysały się czubate trawy, lśniły łąki, drzewa puszyły korony, oddychały i żyły... Pamięć zmarłych muszą ludzie ocalić! Oddany takim myślom, sam jeden w przedziale wagonu przejechałem z Beaconsfield do Oxfordu.

Stulecie Grottgera

(1837 — 1867)



Artur Grottger Portret własny (1858)

Dnia 11 b. m. mija sto lat od daty narodzin Artura Grottgera. Dla uczczenia tej rocznicy zamieszczamy urywek z listu twórcy „Polonii“ i „Lithuanii“, jakże znamienny jako wyraz jego arystycznych ideałów a zarzem jako przejaw jego psychiki, jednocześnie wzniosłej i pełnej humoru, ujmującej i szlachetnej:

Ach, Boże — niechby choć w tym zawodzie (malarskim, przyp.) Polonia stanęła na równi z tym mądrym, zarozumiałym Zachodem pokazała mu, że i pod naszym mglistym, smętnym i chmurnym niebem bije serce, pełne życia i miłości, a głowy tam także tak otwarte i zdolne, jak na Zachodzie! O (piszącego) bądź spokojna, on swoimi... tylko czarną, prostą kredką rysowanymi obrazkami nie powstydzi się przed Panami Francuzami. On im w tych rysunkach może cichym głosem jakby tylko na ucho powie na co nas właśnie Bozia tu posłała: czy na to, abyśmy hołdowali smakowi głupiego, pieniędzmi brzęczącego motłochu, abyśmy schlebiali mu i łechtali przyjemnie w jego mizernych zachciankach, abyśmy byli kupcami — podobnie, jak aktor przedmieściowy, niezgrabnie okrywającymi się w draperie poważne i piękne — boskiego artyzmu, czy na to, abyśmy w pracy naszej, nie suchym słowem ale jakby łagodnym śpiewem, pełnym miłości i rzewności, ludziom powiadali, że mają wiele grzechu niecnoty, ale mają serce i poczucie prawdy w sobie, choćby nawet głęboko ukryte, a więc prawo i do Bóstwa nawet! — Mój Boże, gdyby mi ręka zawsze tak poszła, jakby ją serce moje poprowadziło, ach, prawdziwie że byłbym wielkim malarzem! Niestety, o tem wielu z nas wiedzą, a jeżeli nie, to przeczuwają — a jednak dają się czasem uwodzić, czy to jakimś zyskom, czy goniąc za próżną sławą i rozgłosem i odchodząc z tej pięknej drogi...

(List pisany z Paryża do narzeczonej, 31 stycznia 1867).

TYGODNIK LITERACKI

O KATOLICKĄ FILOZOFIĘ HISTORII

Piękną ozdobę inauguracji roku pracy w „Odrodzeniu“ dn. 22 ub. m. stanowił reefrat p. prof. Oskara Haleckiego o potrzebie wypracowania katolickiej filozofii historii. Znakomity uczony słusznie podkreślił, że dopiero związek z filozofią — przede wszystkim z logiką, polityką i etyką, nadaje historii charakter prawdziwej nauki.

Przy sposobności chcielibyśmy poruszyć sprawę poważnego braku w nauczaniu historii u nas. Dla wytworzenia katolickiego poglądu na dzieje, trzeba przede wszystkim znać dobrze dzieje Kościoła, tymczasem w naszych podręcznikach, pominąwszy już sprzeczności między wykładem historii kościelnej, a świeckiej, w tym ostatnim Kościół zajmuje za mało miejsca. Musimy już w szkole średniej uświadamiać sobie aktywną rolę Kościoła w dziejach naszej cywilizacji, nawet materialnej.

ŁADNY TŁOMACZ!

W październikowym (34) n-rze lwowskich komunizujących „Sygnałów“ niejaki Izydor Berman [1]) druzgocąco „przejeżdża się“ po p. A. Nowaczyńskim, wykazując, że: 1) jest to publicysta najtrzeciorzędniej trzeciorzędny, 2) nie umiejąc po polsku, pisze strasznym żargonem. Nadto pan Berman zapowiada dalsze rewelacje — co w nich będzie, poprostu boimy się myślić.

Nieszczęście chciało, że w tymże czasie „Jutro Pracy“ zanalizowało dokonany przez tegoż wielkiego krytyka przekład „Miłości Doris Hart“ Vicki Baum z takimi gratulującymi do sprawiedliwego wyroku niegdysiejszymi kwiatuszkami, jak Dais też dostała gości, z czoła Bazyla wyskoczyła niebieska żyła itp. Przekład autoryzowany — widocznie p. Berman był dla p. Baum wypadkiem, czymś na co była dumna.

Oczywiście, Polacy czytają to arcydzieło z gorączką na policzkach, ale z zimnym uczuciem w jamie brzusznej. — „Jutro Pracy“ domaga się nawet interwencji cenzury. Oczywiście, nie prowadziło by to do niczego — poprostu czytająca publiczność polska musi sobie ściągnąć z mura i sobie poprostu wybić z karku rozmaitych Bermanów, Pańskich itp. — jak słusznie powiada „Jutro Pracy“ — „wzorowych przykładów wkładu żydowskiego do ogólnego dorobku kultury polskiej“.

1) Nazwisko, zaszczytnie zapisane w kulturze naszej, a i ukraińskiej. Warszawa zna wybitnego grafika Bermana, oprócz pracy w różnych ultralewicowych publikacjach nie gardzącego szkicowaniem plakatów L.O.P.P., L.M. i K. i t.p. Inny Berman, Aron („Artur“) doszedł do wysokich godności w K. P. P.; rodzony brat jego Berek („Bronisław“) awansował na Ukraińca i wodza K.P.Z.U.

TOWARZYSTWO POLSKO-INDYJSKIE

Staraniem grona orientalistów powstaje w Warszawie Towarzystwo Polsko-Indyjskie, mające za zadanie krzewienie znajomości kultury hinduskiej — na czele jego staje znakomity sanskrytolog, prof. St. Schayer.

Będzie to placówka tym pożyteczniejsza, że prawdziwych uczonych w tej dziedzinie mamy zaledwie kilku (oprócz p. Schayera, doc. E. Słuszkiewicz, Willman-Grabowska, St. Michalski-Iwieński, przewcześnie zmarły prof. Rawita-Gawroński), szersza zaś publiczność inteligencka szuka mądrości hinduskiej u szarlatanów; z nielicznych przekładów literatury sanskryckiej kilka zaledwie poszczycić się może wartością naukową.

NIEZWYKŁE ZDARZENIE

Najważniejsze chyba zdarzenie teatralne w dniach ostatnich, to wznowienie „Cnotliwej Zuzanny“ w Teatrze 8.15. Ogólne zdumienie budzi tylko, że nowość tę wystawiono według autentycznego oryginału. — Czyżby była to szykana wobec znakomitego poety, który podjął się odświeżenia i przenicowania całej światowej literatury wodewilowo-operetkowej?

TARCZ.

Z TEATRU

Nowa sztuka Siedleckiego

Miesięcznik „Teatr“, omawiając „Sztukę komediopisarską A. Grzymały Siedleckiego“ z powodu premiery w teatrze Letnim nowej komedii znakomitego autora, pisze w numerze ostatnim:

„Adam Grzymała Siedlecki jako komedicpisarz ma rozległe koligacje. Rosochate drzewo genealogiczne tego rasowego talentu sięga korzeniem zdrowym poprzez Fredrę, aż w tłuste podglebie czarnoleskie, w jędrną a jurną wesołość Rejowską. Ale z antykwariusza nie ma w Siedleckim nic. Autor „Spadkobiercy“ dostał dziedzictwem to, czego inni muszą się w pocie czoła dorabiać: on ma wrodzony ton szczeropolski i humor...

Zjadłszy z teatrem w recenzjach beczkę soli attyckiej, wszedł z nim odrazu w zażyłość, jako autor dramatyczny. Cieszono się też hucznie tą „Sublokatorką“ jeszcze w Rozmaitościach tuż-tuż przed pożarem, znajdując w niej — jak również w późniejszym nieco „Podatku majątkowym“ odbicie autentycznych radości i kłopotów, kreślonych tą samą ręką, która umiała łączyć wzruszenie z humorem tak samo w teatrze, jak w korespondencjach wojennych o „Cudzie Wisły“ i „Pościgu za Budiennym“.

„Spadkobierca“ ujawnił to, co w innych sztukach Siedleckiego było mniej widoczne: dramatyczne podłoże jego komediopisarstwa...

U Siedleckiego często bierze za serce jego plemienny rytm. W „Spadkobiercy“ na przykład mazurek o tańcu przed bitwą przewija się bez słów przez całą sztukę pokryjomu. Hasło: „nie dać się!“— i odzew: — „a na wesoło!“ prawdziwy Polak stosuje przecież instynktownie w każdym niebezpieczeństwie. W dziejach teatru polskiego zostanie na zawsze ten Obierzyński z Samosęków przerobiony z dziedzica na farmera, ale nie na kosmopolitę. Może on po powrocie z obczyzny kaleczyć język ojczysty w ustach, ale zachowa bezwarunkowo mowę wzruszenia, jakże dobitną, gdy poda rękę ziemi pierwej, niż ludziom.

Siedlecki znakomicie wyczuwa, że historia każdego człowieka ma swój legendarny, przedhistoryczny okres. Nawet w lekkich komediach ta przeszłość jest wywoływana i zwiększa żywą wagę postaci scenicznych.

„Włamanie“ z „Panią Ministrową“, napisane w epoce trochę późniejszej, odbiły jej dynamiczność i styl polityczny, z satyrycznym oczywiście zacięciem. A znów „Maman do wzięcia“ z „Ich synową“ przyprawiały widzów o zawrót głowy i kolki w boku, żywością akcji, brawurowym rozmachem dwojących się, trojących sytuacyj, z ich przezabawną irracjonalnością i pełną maestrii akrobatyką.

Wszędzie zaś — po za wybornym polem do gry zespołowej — role, ponętne dla aktorów i dla publiczności, a wśród nich takie arcyrole, jak Siekierka, ten ekonomski odpowiednik karmazyna Cześnika z „Zemsty“, Siekierka z duszą naprawdę anielską i z leżącym na niej (o dziwo!), jak ulał cielskiem rubasznym. Albo ta płocha „matrona“ z „Ich synowej“ zabezpieczona nieśmiertelną głupotą od starości za życia, a n scenie zaasekurowana nawet i od śmierci... Co za typ! Nie powinna schodzić ze sceny w szkole dramatycznej, razem z „nieśmiertelniejszym“ jeszcze od niej samym Oficerem z „Maman do wzięcia“, bo na nich, jak na Podstolinie i Birbanckim Fredry można się uczyć anatomii polskiego stylu gry.

Kameralny, śmiały, a zarazem powściągliwy w rysunku psychologicznym postaci „Czwarty do brydża“ daje miarę możliwości, stojących przed Siedleckim otworem na scenie.

„Ormianin z Beyrutu“ jest komedią charakterystyczną i komedią środowiska. W tym kupcu z bliskiego Wschodu, człowieku po dzisiejszemu zeuropeizowanym, co krok wychodzą na jaw nawyki koczownicze i ślady ustroju patriarchalnego, przy którym wielożeństwo było objawem normalnym.

Ten Ormianin przy całej swojej rozpuście i śmieszności pozornej jest równie dobrym mężem paru żon, jak jest dobrym ojcem wielu dzieci...

Ormianin Siedleckiego, to nie zdawkowy Szkot, Cygan, Litwin albo Czech z operetki, ale właśnie Ormianin z Beyrutu, człowiek prawdziwy na tłach autentycznych i to paru: na tle rodziny wschodniej i społeczności wschodniej. Bo jakże autentyczny, odrębny, nieeuropejski ton ma na przykład i ta scena, gdy na rogacza przez Czeczeńca wykierowany „Armiaszka“ zwoływa wiec współplemieńców i prze nim swoje skargi o zdradę wytacza. A w tej publicznej skardze, w tym mściwym obmówisku, w tym, na oko rzecz biorąc) błotku lubieżności nagle ujawnia się miłość prawdziwa, bo umiejąca przebaczać.

Z biegiem tak prowadzonej akcji pierwotne farsowe założenie sztuki zaczyna się rozprostowywać i rozrastać do rozmiarów problemu etyki. I najniespodziewaniej z tym egzotycznym jegomościem z Azji zaczynają nas łączyć, dzięki kunsztowi Siedleckiego, cechy ogólnoludzkie, a nasz śmiech, chociaż nie głuchnie, staje się serdeczniejszy, inny... W taki to sposób farsa o dziwactwach ras staje się w końcu komedją psychologiczną.“

ZDZISŁAW DZIEKOŃSKI

U. S. A. NA GORĄCO...

IV

MADAME THEMIDE SANS GÊNE

Sądy amerykańskie znamy z filmu. Na środku wysoko umieszczonego stołu siedzi starszy pan, który odgrywa rolę sędziego na dole gestykulując przekonują się, walczą i awanturują się prokurator, adwokaci, świadkowie, strony. Zawsze w ostatniej chwili wpada na salę sądową jakiś nieoczekiwany świadek którego zeznania mają kapitalne znaczenie dla sprawy, uciśniona niewinność wychodzi spod opieki opasłego policjanta, happy end.

Rzeczywistość jest cośkolwiek mniej romantyczna, w każdym jednak razie w sądach amerykańskich nie ma tego nastroju jaki panuje w pałacach Sprawiedliwości Europy. Nikt się tam sędziemu nie kłania przy wejściu na salę, adwokaci nie zadają sobie trudu, aby zachowywać jakieś specjalne formy w stosunku do „wysokiej procedury“.

W wielkich i mniejszych salach sądowych tłoczno jest bardzo. Upał, który jak jedna z plag egipskich wlecze się za człowiekiem wszędzie, przedostaje się i do sali sądowej. Na ławkach siedzi zmęczona, spocona, ledwie dysząca publiczność. Na miejscach zarezerwowanych dla adwokatów rozpierają się panowie bez marynarek, wachlują się aktami. Sędzia, któremu nagoół nie wypada zdjąć marynarki (choć i takich widziałem), męczy się również. W sali huczą ogromne wentylatory, mniejsze takie wiatraczki stoją na stole sędziego.

Ogromna większość publiczności sądowej to zawsze murzyni. Sądownictwo, zwłaszcza karne przeładowane jest sprawami czarnych. Zabójcy, gwałciciele, złodzieje, wagabundy, rzezimieszki, wszelkiego rodzaju hołota kryminalna, najszerzej jest reprezentowana wśród przedstawicieli rasy czarnej. Mało jest natomiast wśród murzynów oszustów na większą skalę, fałszerzy, bardziej pomysłowych nabieraczy, niebieskich ptaków. Tu trzeba myśleć, wysilać mózg. Na to nie decydują się tępa nagoół głowa murzyńska. Owszem zamordować, okraść, zrabować czemu nie, ale jakieś specjalne zachody, tricki, kombinacje? Niech się tym zajmują biali. To już zbyt skomplikowane.

Będąc w Waszyngtonie trafiłem na głośny proces murzyński. Pewien młodzieniec o barwie skóry w stylu wyrobów Wedla, będąc roznosicielem paczek w jakimś większym magazynie, zapoznał się z rozkładem mieszkania zamożnej rodziny również zresztą murzyńskiej i w przystępie energii, wymordował dość systematycznie całą bardzo liczną familię, z której uratował się tylko jeden członek, nieobecny w tym czasie w domu. Efekt zbrodni był niewielki. Pieniędzy przestępca nie znalazł wcale, czek natomiast zrealizowany na drugi dzień, naprowadził nań właśnie policję i zapewnił mu wygodne miejsce w „szarym domu“.

Z ciekawością spoglądałem na winowajcę. Myślałem, że ujrzę typa w stylu Lombroso, dziedzicznie obciążonego zbrodnią, cynicznego bandytę i opryszka, gdy tymczasem zobaczyłem głupawą gębę „standartowego“ chłopca na posyłki, który miał tak dobroduszną i śmiesznie zatroskaną minkę jakby przez pomyłkę znalazł się w sądzie i jakby nie do niego odnosiły się zarzuty dokonania potwornej zbrodni. Broniło go kilku adwokatów. Między nimi tylko jeden biały. Reszta ekipy lśniła fenomenalną czernią spoconej skóry.

Na tablicy obok stołu sędziowskiego rozpięto wielki plan mieszkania w którym zdarzyła się zbrodnia. Świadkowie a później sam oskarżony opowiada li w jaki sposób można się było dostać do sypialni, jak wykorzystano przejścia do łazienek jak zbrodniarz mógł bez zwrócenia uwagi któregoś z domowników dokonać tak zupełnie bez przeszkód, straszliwego żniwa.

Sala przepełniona prawie wyłącznie publicznością kolorową na przebieg przewodu sądowego reagowała bardzo spokojnie. Straszliwie wymalowane, krzycząco poubierane „żujące gumę, jedzące orzeszki, smażone kartofle i wszelkiego rodzaju delicje, murzynki nie zwracały prawie zupełnie uwagi na zeznania świadków, ożywiały się natomiast podczas zeznań oskarżonego, któremu przypatrywały się z całkowitą sympatią. Drobna kolizja z prawem nie dyskredytuje młodego człowieka, który poza tym jest całkiem niczego...

Troszkę inaczej przyjmowali do wiadomości przebieg procesu „the gentlemen of the jury“. Ława przysięgłych, a właściwie jak powinniśmy ściśle nazwać fotele na biegunach, z prawdziwym obrzydzeniem przysłuchiwała się procesowi. Kupcy, lekarze, adwokaci i rzemieślnicy siedzący jako „głos społeczeństwa“, widzieli całą ohydę czynu co zresztą okazali potym w wyroku, skazując.

Rola przysięgłego nie jest specajlnie miła. Zamykają takiego pana w więzieniu, dosłownie w więzieniu. Na czas sprawy podczas której bierze udział, przysięgły wraz ze wszystkimi swymi kolegami przebywa cały dzień w sądzie, resztę zaś dnia spędza w specjalnych, bardzo zresztą miłych celach powiatowego aresztu. Dostaje tam zupełnie niezłe jedzenie, ma radio, zresztą cenzurowane i gazety w których brak tylko opisów toczącego się procesu. Wszystko aby nikt nie mógł wpływać na „głos **społeczeństwa**“.

Mnogość sądów w Stanach Zjednoczonych jest niesłychana. Jeśli się porówna naprzykład takie kraje jak Skandynawskie w których sąd jest instytucją niesłychanie rzadką i wyjątkową, to tutaj urzędy sprawiedliwości są dosłownie na każdy kroku.

A więc najpierw sądy federalne rozmaitych stopni. Sądy federalne sądzą tylko niektóre kategorie przestępców jak naprzykład kidnapperstwo, fałszerstwo i dawniej buttlegerstwo. Potem sądy stanowe znów więc wszystkie instancje okręgowe, apelacyjne, najwyższe. Specjalne sądy mają miasta, a i niektóre gminy. W specjalnych sądach rozstrzygają się sprawy przeciwko państwu, inne jeszcze zajmują się sprawami robotniczymi i ubezpieczeniowymi.

Prawo w Stanach Zjednoczonych jest dżunglą przez którą przedzierać się trzeba przy pomocy wybitnych znawców. Prawie niema kodyfikacji, nieliczne ustawy są przytłoczone poprostu niesłychaną, milionową ilością orzeczeń sądów najwyższych.

Idzie sprawa X przeciw Y.

Dziedzina o którą spór się toczy, nigdzie nie jest uregulowana.

Adwokat musi więc szukać jakichś prejudykatów. Niema podobnego rozstrzygnięcia ani w Sądzie Najwyższym Stanu, ani w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych,, poszukamy więc w orzeczeniach Sądów Najwyższych 48 innych Stanów, a gdy i tam jeszcze nie odszukamy czegoś odpowiedniego można się będzie udać aż do prejudykatów dalekiej... Anglii. Biblioteki sądów i Rad adwokackich pęcznieją od ogromnej ilości opasłych tomów mądrości prawniczej Texasu, Illinois, North Dakota czy Californii. Przedzieranie się przez gąszcze tych latami narosłych werdyktów nie jest rzeczą łatwą. Nic więc dziwnego, że adwokat przeciętny poza stanem swoim jest równie nic nie rozumiejącym obywatelem jak i inni bez wykształcenia prawniczego.

Zdawałoby się, że w kraju w którym każdy dzień, a nawet godzina przynosi nowe zmiany, gdzie ciągle osiąga się nowe zdobycze, nie będzie miejsca na tradycję i w dziedzinie prawa. Tak jednak nie jest. Prawodawstwo amerykańskie oparte w całości na pniu angielskim, owiane jest dotychczas nieco przytęchłym zapaszkiem zwyczajów prawnych z czasów pionierów.

Konstytucja stanu Illinois pisana w okresie kiedy Chicago było nie wiele większe od naszego Piotrkowa a cały powiat Cook do którego to miasto należy liczył koło 50.000 ludności przewiduje urząd jednego sędziego powiatowego. Od tego czasu nieco się zmieniło. Chicago liczy przeszło 3 i pół miliona mieszkańców a na terenie powiatu Cook jest ich razem koło 4 milionów. Gmach sądu powiatowego jest bardzo okazały, pracują w nim setki urzędników, ilość spraw sądowych dochodzi do zawrotnych setek tysięcy, ale... jest zawsze jeden sędzia powiatowy. W pozostałej części stanu Illinois, który jak powiat Cook, posiada też tylko 3 mil. mieszkańców, jest dwudziestu kilku sędziów!

Sędzią powiatowym powiatu Cook, jest Polak Pan Jarecki. Urząd ten jest bardzo zaszczytny; wiele więc trzeba złożyć wysiłku podczas kampanii wyborczej, żeby go jednak zdobyć. Przynosi 15.000 dolarów rocznie. Oprócz ogromnej ilości spraw normalnych, procesów cywilnych wielomilionowej rzeszy, sędzia Jarecki jest z urzędu czymś w rodzaju komisarza wyborczego, przygotowuje spisy wyborców i pilnuje czystości wyborów.

— W jaki sposób radzi sobie Pan Sędzia z nawałem spraw? — pytam naszego miłego Rodaka — który uprzejmość swoją posunął aż do tego, że ujrzawszy mnie na sali sądowej, przerwał posiedzenie i zaprosił do gabinetu.

Sędzia Jarecki elegancki gentleman w stylu zupełnie europejskim uśmiecha się mile, sięga ręką do dzwonka i daje kilka poleceń ukazującemu się we drzwiach woźnemu.

— Pracy mam niewątpliwie bardzo dużo — mówi piękną polszczyzną mój rozmówca — ale jakoś sobie daję radę. Przede wszystkim życie i jego potrzeby stworzyło instytucje dawniej nieznaną a obecnie bardzo popularną — asystentów sędziego, którzy rekrutują się z grona adwokatów. Ich zadaniem jest przygotowanie wstępne całego procesu i wydanie orzeczenia. Jeśli orzeczenie to stronom nie odpowiada mogą je zaskarżyć do sędziego. Zatwierdzenie przez sędziego nie zamyka im rzecz jasna drogi do apelacji. Poza tym sprawy typowe traktujemy jako jedną całość i wyrok w jednej jest prejudykatem dla często tysięcy podobnych.

W tym momencie woźny wniósł plik jakichś książek.

— Widzi Pan mówi dalej sędzia — ogromnem ułatwieniem naszej pracy jest właściwe zorganizowanie kancelarii. Cały proces jest stenografowany, apelacja i wszystkie jej załączniki, odpowiedź na apelacje i wszystkie pisma procesowe są drukowane oczywiście na koszt stron. Sędzia dostaję całą biblioteczkę porządnie oprawnych książek. Nie potrzebuje ślęczyć nad pisanymi ręcznie protokołami itp.

Dziękując za ciekawe informacje opuszczam gabinet sędziego. Ze ścian uśmiechają się fotografie synów sędziego Jareckiego i jego żony. Z niewielkiego aparatu radiowego płynie cicha melodia jazzu.

Troszkę inaczej wyglądają u nas gabinety sędziów.

Najciekawsze są zawsze jednak sądy niższych instancji. Police court, sąd policyjny, administracyjny załatwia doraźnie wszystkie odwołania od orzeczeń „władzy“ ulicznej. Dostałeś mandat 5 dolarów. Za nieprawidłowe parkowanie wozu, zbyt szybką albo zbyt wolną jazdę, za przejechanie czerwonych świateł. Nie chcesz się nakazowi poddać idziesz do sądu.

Znudzony sędzia załatwia szybko odwołania.

— Niedozwolona szybkość — oskarża policjant.

— Ile wolno?

— 50 mil na godzinę!

— Ile jechałeś?

— 85 mil!

— 35 mil za dużo — mówi sędzia — zapłacisz 35 dolarów. Następny.

Czasami załatwia się sprawę całkiem familiarnie.

— Było to w New Jersey — opowiada mi pewien znajomy adwokat — jechałem samochodem do New Yorku. Przy wjeździe na jakąś bardziej ruchliwą drogę uderzyłem niechcący w bok jakiegoś Cadillaca. Nie mogliśmy dojść do porozumienia co do odszkodowania udaliśmy się więc do sądu. Sędziego zastaliśmy w szlafroku na ganku.

— Wytłumaczyliśmy sprawę.

— Co panowie wypijecie — zapytał na wstępie szafarz sprawiedliwości — Coca Cola czy Ginger Ale?

Wybraliśmy Coca Cola.

Po załatwieniu tej formalności, która wychodziła poza ramy normalnej procedury, sędzia pomyślał chwilę, poczym kazał mi zapłacić 50 dolarów odszkodowania i 7 dol. 50 c. kosztów sądowych!

— Pierwszy raz w życiu — zakończył mój informator — piłem tak kosztowny napój, bo przecież wszędzie Coca Cola kosztuje tylko 5 c!

Dowód rzeczowy w procesie karnym ma znaczenie pierwszorzędne. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że jeżeli niema dowodu rzeczowego to niema i sprawy.

Podczas dawnych wspaniałych czasów gangsterskich działy się na ten temat specjalnie zabawne historie. Policja wpada do jakiegoś lokalu, dokonuje rewizji. Znajduje przy kimś płaską buteleczkę whisky. Chodź bratku do sądu. Nagle przykrość. Butelka pada na ziemię rozbija się. Wódka, drogocenna wódka, cieknie po podłodze.

Aresztowany zostaje zwolniony. Są wprawdzie świadkowie, no ale gdzie jest dowód rzeczowy? Trzeba go pilnować lepiej, jeśli się chce doprowadzić do wyroku skazującego.

Sądy amerykańskie mają też swoich felietonistów. Sprawiedliwość tak ważna i poważna dziedzina ludzkiego życia jakoś specjalnie nadaje się do wszelkiego rodzaju anegdot przy czym jak zwykle Żyd w sądzie jest tematem bardzo wdzięcznym. Oto drobna próbka.

Przed sądem w Brooklynie staje obywatel U. S. A. Abram Goldefeder.

Sędzia zapytuje o personalia. Wszystko idzie dobrze. Wiek zawód, stan cywilny.

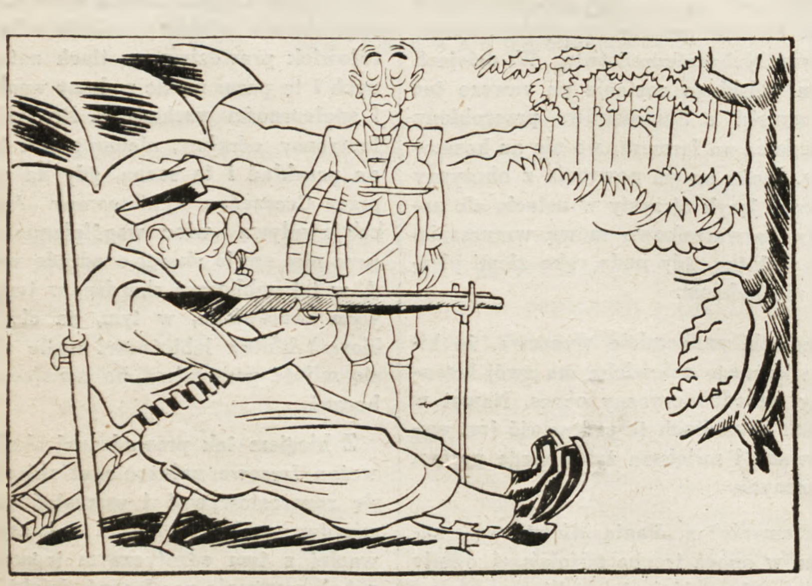
— Narodowość?

— Irish, Irlandczyk — powiada p. Goldefeder zasłaniając przezornie niedość aryjski kształt nosa.

Na polowaniu u księcia



— Powiedziałem ci, że masz zachować e t y k i e t ę, ale nie tę...



— Janie, naciśnij mój palec wskazujący... („Gringoire“)

MACIEJ NOWIK

GROTESKI

Z podróży malkontenta

Paryż. No dobrze niech będzie Paryż
Dziwnie się czuje zmęczony, stary
Właściwie Paryż to wielkie nic
Place, bulwary i Café Ritz
Bar des Anglais — à votre service
Czuję się źle
Jadę do „Nice“.

— — — — — — — — —

Nicea, Palmy, Morze, Słońce
Wszystko jest nudne,
Nudne bez końca.

— — — — — — — — —

Woda, woda, fale, fale
Ciągle to samo
Wieczór i rano
Na bridża prosi mnie trzech
Więc dobrze. Niech będzie, niech...
Walę!

— — — — — — — — —

O głupią „blotkę“ przerwałem grę
Woda, woda, fale, fale
Nie dobrze się czuję, źle...
Zawsze to samo. Stale...

— — — — — — — — —

Marokko! Casablanca
Przybiliśmy wczesnym rankiem
Tłumy Arabów natrętne, ciekawe;
W cieniu stopni czterdzieści.

— — — — — — — — —

Duży autocar. Już jestem w mieście,
Piję kawę.

— — — — — — — — —

*Wiedzie mnie Arab do wąskich souk *)*
W cieniu stopni... już nie wiem ile.
A z souk tych każda ma 4 mile.
Chodzę z grymasem jak stary mruk.

— — — — — — — — —

Quartier d'amour
Wysoki mur
Eh, wszędzie to samo.
Odjeżdżam. Za trzy dni rano.

— — — — — — — — —

Druga, pospieszny, Warszawa
Jakaż tu piekielna wrzawa
Właśnie na nogę stąpnął mi żyd
Jedziemy! Syk, pisk, zgrzyt.
Wysoko na niebie stoi słońce
Jakież to wszystko nużące.

———

*) Souk-kram w bazarze.

Redaktor: **Jan Rembieliński**

Wydawca: Publicystyczna Spółka Wydawnicza, S. z o. o.

Kierownik działu literackiego: **Stanisław Miłaszewski.**

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80 i 635-83